№ 47 Piątek, dnia 20 Sierpnia 1875 roku. Tom I.

OGNISKO DOMOWE
Tygodnik

WARSZAWA
dnia 8 (20) Sierpnia
1875 r.

„OGNISKO DOMOWE" wychodzi w każdy piątek.
CENA PRENUMERATY: w Warszawie: rocznie rs. 4 kop. 50; miesięcznie k. 38.
" " na prowincyi i w cesarstwie: rocznie rs. 6; — kwartalnie rs. 1 kop. 50.

REDAKCYA
przy ulicy Ś-to Jerskiej Nr. 1769b.
(nowy 12) róg Nowiniarskiej.

NA MYLNEJ DRODZE.

POWIEŚĆ

W OBRAZKACH Z NASZEGO ŻYCIA.

przez

Krystynę Narbuttównę.

(Dalszy ciąg. — Patrz w Numer 46).

IV.

Minęły lipiec i sierpień.— Pozbierano zboże z pola; na niezaoranem jeszcze ściernisku i łąkach pożółkłych rozsnuła się pajęczyna, w całej naturze coraz widocziej zalegała cisza a wszystko zdawało się układać powoli do zimowego spoczynku; i jesień nastała spokojna i pogodna jak starość człowieka po życiu pożytecznie spędzonem. Ustała praca w polu, a zato rozpoczęła się w ogrodzie około zbioru owoców i warzywa, zaczęły się rozmaite przygotowania na zimę, mayrnowania, suszenia, smażenie w cukrze i miodzie różnych łakoci, powideł, konfitur i t. d. Pani Gasztoldowa większe tej jesieni niźli kiedykolwiek robiła zapasy, więc w Zalesiu krzątanina była z dwojona.

Pewnego wieczoru, strażnik leśny dał znać do dworu że grzyby się pokazały; wiadomość ta ucieszyła wszystkich, zdawna już na nią czekano. Wyprawa na grzyby, toż jedna z większych wiejskich przyjemności.

Nieodwlekając więc, w obawie ażeby włościanie z wiosek okolicznych nie uprzedzili i grzybów niewyzbierali, postanowiono zaraz nazajutrz wyruszyć do lasu. Po wielu debatach ułożono że pani Gasztoldowa z panienkami i kilkorgiem sług pojedzie od rana, a sam Gasztold po południu przybędzie także na umówione miejsce.

Wieść o jutrzejszej wyprawie z garderoby i kredensu w mgnieniu oka przeniosła się do oficyny i kuchni i z elektryzowała cały dwór; wszyscy jechać mieli ochotę, zaczęły się starania i zabiegi, dziewczęta pokojewe trafiły do panienek, wnosząc instancyę za swymi protegowanymi. Pani Gasztoldowa wymieniła była już tych których zabrać z sobą miała zamiar, wszczęły się więc małe podejścia i intrygi.

— Panieneczko—mówiła Kasia, fertyczna pokojówka do Anny—i po co by to tego Marcina brać na grzyby, on taki ślamazarny i niezgrabny, więcej by nam grzybów wydeptał niżby nazbierał—Grzesiek, todopiero chłopak żwawy i sprawny, zanimby się tamten obrócił, to ten cały las wzdłuż i w poprzek przebieży, niech tam panienka za nim przemówi—on taką ma ochotę jechać, i filut dziewczyna pocałowała z przymileniem w rękę. Anna poszła do matki — a tymczasem Justka przydybała gdzieś w kątku Wandę.

— Panienko—niech no też panienka będzie łaskawą pomówić z panią. Podobno pani kazała żeby Tomasz ogrodnik jechał jutro do lasu—ależ on taki krótki ma wzrok że nie dojrzy jabłka na jabłoni i dopiero jak mu ono na nos spadnie to się dowie że wisiało na gałęzi, a nie lepiejże byłoby wziąć Janka ze stajni—nieuwierzy panienka jaki on szczęśliwy do grzybów; jakeśmy w przeszłym roku jeździli, to u nikogo prawie nie było, a on kopę i czterdzieści znalazł, a takich ślicznych jakby wybrał.

W kuchni na ochotę rzempoliły skrzypce; dziewczęta wymknęły się po jednej z garderoby i pobiegły ze starań zdać sprawę chopakom, a przy tej sposobności podroczyć się i pochichotać troszkę—gdy w tem Michał lokaj wszedł do kuchni i stentorowym tonem wygłosił, że pani kazała powiedzieć że Marcin i Tomasz zostaną w domu a Janek i Grześ ażeby byli gotowi na jutro rano bo pojadą w ich miejscu. Tomasz nic nie mówiąc splunął i poszedł spać, a Janek przez wdzięczność pochwycił Justkę do tańca i tak nią ostro zawinął w tropaku, że dziewczyna aż pod stołem się znalazła; wszyscy przytomni roześmieli się głośno, aż echo po dziedzieńcu się rozeszło, a Justka zawstddzona i zła, wylazła z pod stołu i kulejąc wyszła z kuchni.—Janek poskrobał się w głowę i chciał zabiedz drogę dziewczynie żeby ją przeprosić za taką niefortunną ochotę, ale obrażona odepchnęła go silnie pomruknąwszy tylko „niedźwiedź przebrzydły"—i poszła do garderoby.

Na drugi dzień rano o godzinie szóstej, już stały przed gankiem dwa wozy parokonne, tak zwane krakowskie, które służyły przeważnie tylko do wypraw myśliwskich i na grzyby. Wybierano się a wybrać się nie było można, chociaż z wieczora wszystko zdawało się być ułożone i przygotowane, jednakże bieganina była jeszcze nieustanna i ciągle cóś wybór opóźniało — najpierwej wynikła kwestya o koszyki — Tomasz chowający dotąd urazę w sercu, za to że zostaje w domu, dać ich chłopcom niechciał pod pozorem że je połamią i nie będzie w co jabłek zbierać—stąd swar i skarga do samej pani, która tamę zajściu położyła nakazując wydać koszyki, potem już siadając, przypomniano sobie, że na wypadek gdyby się rydze znajdowały należy wziąść faskę i sól, bo świeżo solone, zaraz na miejscu wiadomo że najlepsze, przyniesiono więc faskę i sól — faskę ustawiono na koźle, powożący miał ją przytrzymywać nogami—już mieli siadać, kiedy okazało się że stajenni nie wzięli kap na konie a bąki spokoju by im nie dały w lesie. Nareszcie do pierwszego wozu wsiadły pani Gasztoldowa, obie panienki i Wiechniakowska panna służąca, na koźle kazano wsiąść Frankowi kredensowemu i trzymać ogromny kosz z żywnością; na drugim zaś wozie sadowiła się jak mogła wśród wrzawy i śmiechu reszta szczęśliwych wybranych a każdy trzymał koszyk dobrawszy go sobie jak największy—ruszono nakoniec a pan Gasztold jeszcze wołał z ganku.

— Janek! a pilnuj tam białonogiego, ty się tam będziesz chichotał i gapił a tymczasem zuch będzie sam jeden ciągnął.

Do lasu było cztery wiorsty, a do chaty strażnika przy której miano założyć obozowisko jeszcze o jakie półtory wiorsty dalej.— Wjechano do lasu a wąska drożyna co prowadziła do straży wiła się wśród gęsto podszytego lasu; bujne blado liljowym kwiatem kwitnące wrzosy uściełały ziemię a pomiędzy wrzosem gdzie niegdzie kraśniała czerwona syrojeżka, to maślak borowika udawał, to gromadka żółciutkich pliszek świeciła jak złotem. Jadący z oczami utkwionemi w przydrożne wrzosy upatrywali prawdziwych grzybów—pierwsza Anna zawołała:

— Grzyb!—gdzie? gdzie? zawołano na obu wozach.

— Ot tu zaraz, około tej brzozki—Franek zeszkoczył z kozła i zaczął szukać, ale nie znalazł. Anna sama wysiadła i grzyb podjęła ktoś się odezwał:

— Panienkę szczęście dziś spotka—kiedy pierwszego grzyba znalazła — Anna uśmiechnęła się ale jakoś nie wesoło, pani Gasztoldowa mimowolnie westchnęła cicho.

Pierwszy grzyb stał się hasłem, i bardziej zapaleni amatorowie zeskoczyli z wozu i szli pieszo około drogi. Kogut zapiał, dowód że straż już była blisko, zaszczekały psy i zaraz pomiędzy drzewami zaszarzały strzechy domku i stodółki strażnika.

Pierwszy wóz zawrócił trochę na lewo i zatrzymał się o paręset kroków od domku na zielonej przechalinie w miejscu gdzie można było bezpiecznie ognisko rozłożyć. Zaczęto roztasowywać się, wyprzężono konie,

przykryto je kapami, przywiązano z tyłu wozu i dano im siana; rozesłano na ziemi dywany, któremi przykryte były siedzenia. Wiechniakowska z Anną zabrały się do rozdania śniadania chłopcom i dziewczętom a każdy posiliwszy się chlebem z masłem i wędliną, wziął koszyk na rękę i w las się zapuścił. Anna i Wanda wzięły także koszyk, podpięły wyżej sukienki i znikły w gęstwinie, a przyobozowisku pozostali tylko pani Gasztoldowa i Szymon furman; Szymon poszedł do straży po siekierę, potem słychć było rąbanie i trzask gałęzi, a za chwilę przywlókł kilka zżółkłych chojaków, ułożył z nich stos i podpalił; przyschnięte sosnowe igiełki w mgnieniu oka zajęły się płomieniem i z trzaskiem i dymem buchnęło ogromne ognisko, bez którego żadna wyprawa do lasu obejść się nie może. Szymon podsunął koniom siana, wzmocnił postronki któremi były przywiązane, potem wyjął z pod kozła koszyk, który sobie z przewidzeniem zachował, zapalił fajkę przy ogniu i poszedł też w pobliże szukać szczęścia.

Pani Gasztoldowa została sama, pochodziła trochę po bliskich zaroślach a potem przyłożyła do ognia kilka gałęzi, usiadła opodal około pnia suchego i zamyśliła się głęboko. Promienie słońca przedzierały się już z wysoka pomiędzy konarami drzew złocąc pożółkłe liście; za najlżejszym wiatru podmuchem rosa w dużych kroplach z liści na liście spadała szeleszcząc po cichu. Z początku dochodziły zdala nawoływania rozbiegłej po lesie drużyny, głosy oddalały się coraz, aż ucichły zupełnie, i tylko koń który parsknie czasem chrupiąc siano, sroczki przeskakując z gałęzi na gałęź skrzeczą, to niby coś gwarzą pomiędzy sobą, to niby się kłócą, dzięcioł gdzieś daleko w drzewo stuka, zbiera po za korą ukryte robaczki, a ludzi ani widać, ani słychać.

Wanda i Anna ochoczo się zabrały do zbierania grzybów. W tym wieku kiedy samo życie takie ponętne, wszystko co się na swojej drodze spotyka, co bawi lub zajmuje, bawi i zajmuje prawdziwie, więc też i dzieweczki nasze, chociaż jedna i druga miały może coś innego, co im tkwiło w pamięci, ciężyło na duszy, w tej chwili jednak, z zupełną przyjemnością, lekkie jak sarneczki o kilkanaście kroków jedna od drugiej przemykały się pomiędzy gęstwiną oznajmując sobie od czasu do czasu głośnym okrzykiem radosną wieść o dostrzeżonym borowiku. Tak przebiegły spory kawał lasu a przedarłszy się przez gęstwinę znalazły się niespodzianie nad zieloną dróżyną która stanowiła linię graniczną. W tem miejscu kończył się las Zaleśniański a zaczynał należęcy do Starego Dworu. Nie poszły już dalej, a że czuły się strudzonemi, postanowiły odpocząć. Las Zalesniański w tem miejscu formował wklęsłość niewielką, znać kiedyś przed laty, kilka stąd sosen wyniosłych zrąbano a pnie wykopano z korzeniem, czas ziemię wyrównał, ale blizna została formując małą dolinkę, zieloną trawą porosłą; tam usiadły dzieweczki. Najpierwej każda przeliczyła swoje grzyby, układając je w koszyku ostróżnie, a było ich już dosyć wiele; obie cieszyły się niemi szczerze, grzybki były młode i świeże, jakby wszystkie dzisiejszej nocy wyrosły, ale zato nóżki na dobre boleć zaczynały.

(*D. c. n.*)

PRZYCZYNEK DO KWESTYI ŻYDOWSKIEJ.

Chcemy tu mówić o pewnem wybitnem znamieniu, charakteryzującem wykształconą młodzież żydowską. Od pewnego czasu dość znaczne szeregi ciemnej ongi zupełnie warstwy społecznej, zapisują się pod sztandar oświaty i postępu. Uniwersytet nasz liczy w gronie słuchaczów swoich dość znaczną ilość izraelskich współbraci. Na pozór, prócz pewnych małoznaczących nawyknień, nie różnią się oni zupełnie od reszty kolegów. Ale jeżeli bliżej się im przyjrzymy, to nie podobna nie dopatrzyć pewnej cechy, która później jasno się w działalności ich uwydatnia. Już tu widzimy pewne jej zarodki. Cała prawie bez wyjątku młodzież żydowska poświęca się tym tylko gałęziom wiedzy, które później mogą być bezpośrednio w życiu spożytkowane. Przygotowując się do groszodajnej praktyki, omija takie wydziały, które zgromadzają tylko garstkę zamiłowanej do pewnej specyalności młodzieży. Mamy tu na myśli wydział filologiczny i matematyczny. Aczkolwiek w ogóle są one bardzo nielicznie reprezentowane i przez chrześcijańską młodzież, i fakt ten wynika ze słusznej poniekąd przyczyny, jednakże zupełne stronienie od nieobiecujących świetnej przyszłości naukowych studyów w związku z dalszym kierunkiem działalności, rzuca pewne wybitne światło na duchowe usposobienie młodzieży izraelskiej.

Życie uniwersyteckie i wpływ kolegów obudza w nich często ogień szlachetniejszych uczuć. Dusze ich ogarnia niekiedy wzniosły zapał, a do piersi zakołata niejedna dumka serdeczna. I oni palą niekiedy cichą ofiarę myśli na ołtarzu dobra ogólnego. Lecz to już cecha młodości, pełnej zapału, który później chłodnie zwolna. Iluż z tych, co niegdyś marzyli o szczęściu ludzkości, którzy tyle wzniosłych idei pragnęli w życiu urzeczywistnić, później zagrzęznąwszy w sferze egoistycznych dążności, w boju o kawałek powszedniego chleba szli coraz dalej, dalej, i nawet na progu bogactw i dostojeństw nie przypomnieli sobie wzniosłych pragnień młodości. Ileż to mamy dusz kalekich, które na drodze życia swego zasiawszy tylko kilka kwiatków myśli pod skrzydłem młodości, ani z jednego z nich nie wychodowali pożytecznego owocu. Iluż zresztą spotykamy dezerterów, którzy zabłysnąwszy na chwilę pod sztandarem czynu, po ciągnąwszy nieco rydwan oświaty i postępu, wnet zbiegli z pod jego znamion, skrywszy się w skorupę egoistycznego życia. Ci jeszcze cośkolwiek zdziałali, ale pierwsi nic zupełnie. Garstka dusz młodych, zsolidarozowanych potęgą jednych uczuć i dążności, rozpierzcha się po świecie... bez śladu żadnego.

Lecz aczkolwiek ogólna to w znacznej części choroba, najsilniej jednakże uwydatnia się w młodzieży izraealskiej. Już w pierwszym zacząktu budzącego się ducha, widzimy w nich pewien indeferentyzm, obok jaskrawych niekiedy fajerwerków sztucznego zapału. Idąc za ogólnym prądem młodości, porwani przez innych kolegów, przejmują się bardziej zewnętrznie potęgą wzniosłych idei, światło których mają rozjaśnić nad czołem społeczeństwa. Ale brak tu wewnętrznego węzła, któryby ich łączył z innymi. Absenteizm i indeferentyzm są tu panującemi wadami. Zlawszy się zewnętrznie z resztą społeczeństwa, z duchemjego nie zespoili jeszcze własnego ducha.

Otóż ta obojętność na dobro ogółu z wiekiem coraz bardziej bierze górę. Nie mamy tu nic przeciwko temu, jeżeli pewna jednostka zwraca swą działalność ku zapewnieniu sobie niezależnego i pewnego bytu. Lecz niechże nie zapomina, że ma też pewne obowiązki względem społeczeństwa, wśród którego żyje, niech pamięta, że społeczeństwo to wyłożyło nie mały kapitał na dostarczenie jej zasobów umysłowych, z których teraz obfite zbiera owoce. Nie żądamy tu, aby *każda* inteligentna jednostka miała stawać w rzędzie głosicieli nowych idei, pionierów postępu. Sumienną pracą w obranym zawodzie, dążąc do egoistycznych nawet celów, można zarazem spełniać i obowiązek społeczny. Zaznaczamy tu tylko fakt, który jasno charakteryzuje ży-

---

U OGNISKA.

(T. T.) Powodzie—burze—pożary—morderstwa... morderstwa—pożary—burze i powodzie,—oto co nam echa ze świata znowu przynoszą. Tego nie dość jeszcze. Słyszymy, że młody jakiś człowiek, człowiek zacny, szlachetny, pilny i zdolny, borykając się długo z ostatnią nędzą a nie mogąc nigdzie znaleść sobie zajęcia, a nie chcąc znów ręki wyciągnąć po wsparcie do przyjaciół, których podobno miał nawet wielu (winszuję mu ich szczerze!) strzelił sobie w dzień biały, pod jasnem słońcem pięknego nieba i w pięknych murach jednego z *pięknych* miast naszych.... w łeb! To słysząc o tem wszystkiem człek staje się już nie rozgniewanym, nie zasmuconym, ale poprostu... prorokiem Izajaszem, co przed wieloma wiekami gromił za ich zbrodnie.... żydów. Więc felietonista wasz także, stawszy się na to Izajaszem, miałby ochotę wyjść choćby zaraz, w pokryciu z worka lub z końskiego włosienia, z rozczochranym włosem jak u furii i z błyszczącemi ogniem oczyma, zawołać: „O rodzie przebrzydły! który się szczycisz, żeś wymyślił żelazne koleje i telegrafy! który masz się za najmędrszy i najpostępowszy ze wszystkich! który się obrażasz, gdy cię Niemiec lub Anglik niedołężnym i pustym nazywa! o rodzie!... powiedz teraz, kto zacz, ty jesteś?“ Tak chciałbym zrobić naprawdę—ale... że nie mam worka ani włosienia, tylko prosty surdut od Zielińskiego, włos też mam przyczesany szczotką i grzebieniem, daję pokój i... niech was tam już bogi ze zbrodnią waszą i z grzechami razem!

Pomówmy oto lepiej o innych rzeczach i pomówmy o nich spokojniej.

A najsamprzód: że rok nowy szkolny, który się właśnie rozpoczyna, przynosi nam z sobą ważną bardzo nowość—bo nową szkołę do tych, które już dotąd istnieją—Szkołę Handlową. Jakże to oddawna potrzebowaliśmy w kraju swoim podobnego zakładu! Gdyby ten istniał, mielibyśmy handel może istotny zamiast *kramarstwa* i kupiectwo zamiast... wyrwigroszów. Nikomu może tyle nie potrzeba ukształcenia, co kupcowi. Człowiek to, co powinien znać dobrze stan kraju, w którym mieszka; warunki wszystkie społeczne jakie kierują jego bytem; produkty ziemi i przemysłu, które ze świata mogą doń przybywać; powinien znać najgłówniejsze przynajmniej prawa obywatelskiej uczciwości, jakie stan jego na niego nakłada. A gdzież tego wszystkiego było szukać w naszych kupcach z pryncypalnych ulic i... z Franciszkańskiej ulicy? Mojsie handlował na to by szachrować—pan X. lub B. szachrował na to by handlować—ot i wszystko. Witamy zatem Szkołę Handlową z radością i witamy ją tem szczerzej, że na jej czele staje człowiek, który niejednę już szczerą przysługę okazał naszemu ogółowi; długo przodował mu jako jeden ze świeczników na polu wiedzy i społecznej pracy; którego zresztą pedagogiczne zdolności i doświadczenie dają nam więcej niż czyje kolwiek gwarancyi za przyszłość wzmienionego zakładu—pan Stanisław Przystański! Cieka-

dowską inteligencyę. Przed niedawnemi czasy w rzędzie śmiałych bojowników pióra, głosicieli nowych idei, stała spora garstka młodych, pełnych zapału synów semickiego plemienia. Zdawałoby się, że całą duszę ich pochłonie działalność dla dobra ogółu. Tymczasem przyszłość okazała, że była to tylko przechodnia chwila i przemijający entuzyazm. Bo oto patrzcie, skoro tylko który z tych panów wszedł na drogę praktycznej działalności, skoro otrzymał posadę lub jakie korzystne zajęcie, wnet zdezerterował z szeregu postępowców i kapłanów myśli i został prostym śmiertelnikiem, zajętym jedynie swą własną egzystencyą. Nie wiemy, czy można naliczyć kilka jednostek z grona żydów, któreby idąc za głosem zdolności i powołania, poświęciły się sumiennej pracy na polu piśmiennictwa krajowego. Reszta, popracowawszy przez bardzo krótki czas w warsztacie literackim, opuściła go zupełnie.

Nie możemy mieć za złe tym panom, że przyjęli posady patronów, adwokatów i t. p. Zwracamy tylko uwagę na to, że praktyczne zajęcie nie przeszkadza umysłowej pracy na polu piśmiennictwa, owszem, nadaje jej nawet pewną gruntowność i zbogaca obfitszym materyałem. Dalej w następujący sposób scharakteryzujemy tę kategoryę ludzi. Dla każdego z nich wygłaszanie wzniosłych idei kapłaństwo, myśli było tylko chwilowym płaszczykiem, który zrzucili natychmiast, skoro w bogatsze zaopatrzyli się szaty. Nikt prawie z nich nie wytrwał pod sztandarem, który podnieśli pionierzy postępu, bo święte idee jego były dla nich ołtarzem, przy którym kapłaństwo licho jakoś po płaca. Zerwawszy nawet stosunki z towarzyszami, z którymi łączyła ich niegdyś wspólność uczuć i celów, ani zajrzą już teraz do obozowisk, skąd spłynęły na nich pierwsze promienie szlachetnych uczuć, gdzie złożyli lepszą cząstkę ducha własnego. Zresztą sam fakt, że nie znajdzie się w ich gronie żadna prawie jednostka, któraby poświęciła nadzieję korzystnego stanowiska zamiłowaniu mniej korzystnej specyalności i chęci złożenia na ołtarzu dobra ogólnego tych zdolności, któremi tak obficie obdarzyła ich natura, fakt ten, powtarzam, sam jasno za siebie przemawia. Młodsze pokolenie izraelskiej ludności naszej, aczkolwiek postąpiło znacznie na drodze ku lepszemu, nie dorosło jednakże do wznioślejszych pragnień ducha; Poczucie obowiązków, względem społeczeństwa, nie obudziło się jeszcze w tych nowo-kreowanych postępowcach. Lecz porównywając teraźniejszość z przeszłością, widzimy już znaczny w tym względzie postęp, który kiedyś do błogich doprowadzić może rezultatów.

A. Pilecki.

APTECZKA DOMOWA

opracował:

ST. W. ŁUKOWSKI,

(Dalszy ciąg).

VII.

Respirator.

Respirator (oddychadło), stanowi jeden z ważniejszych wynalazków bieżącego stulecia,—jest to przyrząd druciany, kraciasty, który przywiązuje się do ust i nosa, celem utrudnienia przystępu do płuc suchego, zimnego i napełnionego kurzem powietrza. Zimno, szczególniej zaś suche zimno oraz kurz, powinny być uważane za dwie najgłówniejsze przyczyny powstawania chorób płucnych i pogorszenia już istniejących. Te to właśnie dwie przyczyny wzmagają suchoty płucne, podtrzymują kaszel i napady zaduszki (astmy), wywołują zapalenie i nieżyt (katar) płuc,—słowem, warunkują pochodzenie większej części niewyleczalnych cierpień płucnych. Lekarze, wysyłając osoby chore na piersi z miast do wsi i z okolic zimnych do cieplejszych, mają głównie na widoku—ochronić chore płuca od działania powietrza chłodnego i napełnionego kurzem. Respirator spełnia po części to samo zadanie. Budowa respiratora jest dość prosta: składa się on z kilku, nałożonych jedna na drugą metalicznych kratek, zrobionych z cienkiego drutu; wierzchnia kratka pokryta jest cienką materyą jedwabną. Przy wydychaniu, wilgotno-ciepłe powietrze, przechodząc przez kratki, ogrzewa takowe i tym sposobem tworzy przed ustami, w owych kratkach, warstwę ciepłego, wilgotnego powietrza które ogrzewa znów i udziela wilgoć wchodzącemu do płuc zewnętrznemu, chłodniejszemu i suchemu powietrzu. Niezależnie od tego, podczas przejścia zewnętrznego powietrza przez lekką materyę jedwabną, zawarty w niem kurz zostaje zatrzymanym, wskutek czego, przy pomocy rzeczonego przyrządu, płuca otrzymują tylko czyste, ciepłe i wilgotne powietrze. Takie powietrze potrzebnem jest przeważnie dla osób, cierpiących często na *kaszel, chrypkę, ściskanie i kłucie w piersiach, zaduszkę* (astmę), a najbardziej dla tych, co mieli już kiedykolwiek *kaszel krwawy.* Jeśli podobnie chorzy, nie posiadają ani środków, ani czasu na leczenie się na czystem ciepłem powietrzu, to powinni przynajmniej oddychać koniecznie za pośrednictwem respiratora. Przy przejściu z ciepła na zimno, szczególniej zaś podczas wiatrów północnych lub wschodnich, respirator niezbędnym jest dla tych mianowicie osób cierpiących na piersi, które nie mogą przesiedlić się na dłuższy czas do klimatu południowego (wraz z rodziną, ażeby tęsknota za nią, nie zniszczyła całej korzyści ciepłego powietrza); noszenie respiratora bardzo ważnem jest także dla osób niezamożnych, dotkniętych chorobami płuc i zamieszkałych w pokojach wilgotnych, źle oświetlonych od słońca. W razie, gdy powietrze, którem wypadnie oddychać, jest zimne i nieczyste, wtedy należy nosić respirator zarówno dniem, jak i nocą. Respirator może niekiedy prawie zupełnie usunąć napady cierpień piersiowych i znacznie przedłużyć życie.

Lecz respirator odpowiada całkiem swemu celowi jedynie wówczas, kiedy kratki jego ogrzewane są powietrzem wydychanem i łatwo udzielają swe ciepło wdychanemu (zewnętrznemu) powietrzu. Warunki te posiada w wyższym stopniu *respirator Gefraey'a* (czytaj Żefreja), tak zwany od imienia swego wynalazcy, który składa się z kratek, wyrobionych z cienkich, metalicznych nitek, również szybko przyjmujących i tracących ciepło. Do niczego nieprzydatne, tańsze naśladownictwa respiratora Gefraey'a, zbudowane są z dwóch przedziurawionych blaszek, pomiędzy któremi (jakby dla zniszczenia wszelkiej skuteczności przyrządu), znajduje się źle przewodząca ciepło-kratka włosiana. Taki przyrząd, daleko mniej jest pożytecznym, aniżeli chustka, do ust przywiązana. Na nieszczęście, podobnego rodzaju nieprzydatne respiratory robią tylko ujmę prawdziwej wartości tego dobroczynnego wynalazku, i przez to, zmniejszają jego rozpowszechnienie; z fabrykantami więc takowych, należałoby postępować—jak z fałszerzami monety.

Kto nie chce pokazywać się z respiratorem (a są jeszcze osoby tyle nierozsądne, że wstydzą się go nosić), ten może zakryć go krepą lub gazową szarfą. Zresztą, wkrótce zapewne nadejdzie czas, kiedy ludzie chętniej zgodzą się założyć w porę respirator, niezważa-

---

wiśmy tylko teraz, dlatego właśnie, że zakład ten ma być instytucyą tyle pożyteczną, i dlatego, że taki jest potrzebny, i dlatego, że tak ładną przyszłość o sobie przyrzeka,— ilu też młodych ludzi zapisze się na jego uczni? Czy zbierze się choć na początek zaraz, owa liczba *pięćdziesięciu*, wyznaczona do otwarcia klasy pierwszej czyli przygotowawczej?

Z powodu innych i innego rodzaju znów instytucyi mających przynieść niemniej wszakże nieocenione dobro społeczeństwu, słyszymy o zamierzonem otwarciu w Petesburgu, domu pracy i zarobku a zatem domu *przytułku*, dla przestępców i zbrodniarzy, wypuszczanych na wolność z więzień po odsiedzeniu tamże kar swoich. Zakład ma być urządzony w ten sposób, iż przestępca w nim za własną pracę, którą sam sobie wybierze a do której poczuje się najzdolniejszym, będzie w stanie nietylko utrzymać się wygodnie, ale nadto jeszcze i grosz jaki zapasowy zebrać sobie na przyszłe życie. Wiemy zaś dobrze z wieści, jakie to życie ciężkie, jakie zmudne i trudne, pełne przeszkód na każdym kroku, pełne nieszczęść, zniewagi i krzywdy, dla każdego, co chociaż za małe przekroczenie, dostawszy się raz do więzienia, po wyjściu z tegoż więzienia stał się najuczciwszym nawet człowiekiem. Przed jednostką taką każdy drzwi już naprzód zamyka. Nie pytając za co, przez jakie okoliczności, pod czyim wpływem, w jakim wieku i w jakim obłędzie, popełniła przestępstwo swoje, każdy za to tylko, że raz już była w więzieniu, odmawia jej wszelkiego współczucia nawet, nietylko pomocy! O dziwny purytanizmie naszych prawowiernych czasów! o miła pruderyo cnoty!... miałażbyś się już kończyć— ty— o której ja myślałem, żeś jak świat i nieśmiertelność— wieczna?

Ponieważ ludzie, jak się już zaczną popisywać z dobremi rzeczami, to popisują się z niemi bez miary,— mamy otrzymać w krótce jeszcze rzecz jednę bardzo pożyteczną i co główna! nam samym, Warszawiakom i Przywiślanom, bardzo jak na teraz przydatną, mianowicie: *holowniczą żeglugę parową* na Wiśle. Złożyło się już na seryo Towarzystwo akcyjne, mające projekt ten, oddawna rzucony, w czyn wprowadzić, i ustawa tego Towarzystwa została, jak pisze Kurjer Warszawski, napewno już zatwierdzoną przez Władzę. Dopieroż to Wisła nasza, nie chcąca nam raz dawać wody, innym razem strasząca nas powodziami, poczuje, co my z nią możemy kiedy chcemy! Na grzbiet jej siędziem—hardy kark jej, kołami gnieść będziem—wiosłami ją biczować— rudlami torturować... a wa! A gdy masę już zboża do Gdańska wypchniemy—masę groszy od Niemców za nie dostaniemy —to... sobie kartofelków za grosz ten kupimy—po nad Wisłą ogieniek duży rozłożymy —w tym ogniu kartofelki one popieczemy—i... jeść będziemy,—skacząc z radości, żeśmy jeszcze rzecz jedną Niemcom odprzedali!... Nieprawdaż, że tak będzie?

Cóżby wam tu jeszcze powiedzieć z ładnych rzeczy?

A otóż! Wystawa w Filladelfii!

Toż rzecz nietylko ładna, ale śliczna!....

Tak jest—tylko podobno, jak słychać, mało bardzo amatorów *do wystawiania*, zgłosiło się na pierwsze posiedzenie, które konsul

jąc na rzekomy stąd wstyd, aniżeli włóczyć się bezustannie po Włoszech, Salzbrunn, Ems i t. d., z resztkami płuc i ciałem podobnem do szkieletu.

(*D. c. n.*)

ETAPY SUCHOTNICZE.

Listy z podróży Kazimierza Z.

(rok 1867 do 1869).

(Dalszy ciąg).

A teraz wracamy na Wielki Kanał aby po odbyciu po nim przejażdżki i zwiedzeniu kilku kościołów, pożegnać na dobre Wenecyą. Kanał ten zaczyna się od cypla Ś-go Antoniego i kończy wysepką Ś-ej Klary w formie wklęsłej, tworząc najwspanialszą może ulicę na świecie. Otóż naprzód płynąc z samego początku od lewej strony, widzimy ogród publiczny założony z inicyatywy Napoleona I-go, ale mało uczęszczany przez Wenecyan, którzy drzew ani zieloności nie uwielbiają wcale. Od tego ogrodu zaczyna się ulica słowiańska a jak chcą mieć inni niewolnicza (Riva degli Schiavoni), a na przeciw niego leży dawna mennica, Zecca, w której się wybijały owe sławne cekiny, dukaty weneckie. Po komorze wodnej, której budynek z XVIII wieku nie ma nic nadzwyczajnego, oprócz wieży dziwacznej, zakończonej kulą dźwiganą przez dwóch Atlasów, na której kręci się od wiatru posążek Fortuny—spotykamy jeden z największych kościołów Wenecyi Santa Maria della Salute dzieło znakomite, budowniczego z czasu upadku sztuki, Baltazara Longhena. Dalej idzie pałac Dario dzieło budowniczego Lombardi a następnie pałac *Corner* wybudowany według planów Sansovina i pod jego kierunkiem. Budynek to wspaniały, imponujący masą czworoboczną marmuru i przepychem ornamentacyi.

Akademya sztuk pięknych, na lewym brzegu, nie przedstawia nic szczególnego, za to wewnątrz jest zbiorem najpełniejszym, sztuki weneckiej ze wszystkich epok. Oprócz tego posiada ona zbiór posągów i rzeźb nietylko znakomitości Weneckich, jak nadmiar prac przesławionego Canovy, ale nadto najbogatszą w całej Europie kolekcyą modeli starożytnej sztuki.

Teraz ograniczę się tylko na wymienieniu nazwisk pałaców, których obejrzenie szczegółowe każdemu z podróżników zalecić wypada. Oto pałac Contorini dzieło Scamozzego, dalej pałac Rezzonico jedna z najpyszniejszych prac Longhena, następnie stary pałac Foscarich o trzech piętrach okien gotyckich, balkonów i prześlicznej kolumnadzie; oto dalej na zakręcie kanału (Volta del Canale) pałac Balbi dzieło sławnego Vittorii o którym opowiadają że przyszły jego właściciel Mikołaj Balbi mieszkał w łódce przypatrując się ciągle wznoszeniu się murów i ozdób aż umarł z przeziębienia nie doczekawszy końca dzieła, które go miliony kosztowało. Potem idą pałace: Pisani, drugi Contarini, Barbarigo (sławna galerya obrazów między któremi Venus Tycyana), trzy pałace Mocenigo, Spinelli, Grimani, Tiepolo dawniej Coccina, drugi Grimani (dzisiejsza poczta), Fabryki stare (Fabriche vecchie miejsce urzędowania mniejszych kilku władz Rzeczypospolitej) nareszcie pałac Manina i most Rialto dzieło Antonina da Ponte. Most ten uważany do dzis dnia za znakomite dzieło budownicze, uwieczniony tysiącami poezyi, dramatów i podań, składa się z jednej arkady, rzuconej przez całą szerokość kanału i liczy 83 stopy weneckie szerokości w cięciwie. Cały budowany jest z marmuru istryjskiego a odznacza się więcej siłą i trwałością budowy niż ozdobnością. Most podzielony jest na trzy części, dwoma rzędami sklepów, w których dawniej załatwiały się głównie interesa handlowe, gdyż Rialto był giełdą dawnej Wenecyi. Z frontu most nosi herby Paskala Cigognii Doży, z którego zbudowany został, a na czterech rogach zdobią go płaskorzeźby Campagnii: Ś-ty Gabryel, Najświętrza Panna, Ś-ty Marek i Ś-ty Teodor. Nareszcie jak już wzmiankowałem budował go Antonio da Ponte w trzy lata od r. 1588, zwycięzywszy na konkursie współzawodników między którémi wymienia może mylnie historya sztuki, gdyż nie ma na to dowodów, Michała Anioła i Palladia. Po za mostem znowu się rozwija urocza panorama pałaców bez końca, z których każdy zasługiwałby na opis obszerny, jako studyum budownictwa, a przynajmniej na jakąś wzmiankę, ale gdy suche wyliczanie znudzić by tylko mogło a opisy szczegółowe łomy całe by zajęły, ograniczam się na wskazaniu arcydzieł: jak Vendramin-Calerghi lub Fondaco de'Turchi, albo interesujące zabytkiem fresków Tycyana i Giorgiona Fondaco de'Tedeschi lub jak zbiorem broni starożytnej z wyprawy do ziemi świętej Doży Michieli pałac Micheili. Wielki kanał kończy się kościołem Imienia Jezus, dziełem budowniczego Selva z r. 1800 w stylu klasycznym, to jest takim jak go rozumiano w początkach tego wieku we Włoszech i w całej Europie.

Ale te gmachy prywatne, budowane ogromnym nakładem, najbogatszej i najdumniejszej arystokracyi na świecie, obsługiwanej na zawołanie wyborem artystów narodu najcudowniej obdarzonego genjuszem sztuki w najświetniejszych czasach jego historyi, nie są jednak mimo swej liczby i wartości najcharakteryczniejszą stroną budownictwa Weneckiego; inne miasta włoskie rywalizują w tej mierze z Wenecyą jak Florencya, Genua i Rzym przynajmniej co do charakterystyki swych budynków. Ale w czem Wenecya i Rzym wyróżniają się nietylko od wszystkich miast włoskich ale i od miast świata całego, to swemi przybytkami modlitwy, świątyniami i kaplicami. Wenecyanie jak w ogóle ludy żeglarskie, okazywali w swoim czasie pobożność nadzwyczajną i zamiłowanie do nabożeństw i uroczystości religijnych: duchowieństwo włoskie było najliczniejsze z całego półwyspu. W X wieku liczono już sto kościołów w Wenecyi. W czasie ostatniej rewulucyi 1848 r. było 288 budynków kościelnych i klasztornych, a gdy z tej liczby 162 zburzono lub zmieniono na inny użytek dziś jeszcze Wenecya liczy 122 kościoły.

Co najwięcej uderza w ogóle kościołów Wenecyi, to rozmaitość typów, tak wybitnie odznaczonych. Podboje Wenecyan ich podróże, stosunki z krajami cywilizowanemi świata całego, przynosiły im z towarami i korzyściami przemysłowemi, również materyały najróżnorodniejsze, wzory sztuki rozmaite i sprowadzały artystów. Ze zbioru otrzymanego z tak różnorodnych źródeł wyrodziła się ta mieszanina gustu greckiego, bizantyńskiego i maurytańskiego, który charakteryzuje ich pomniki aż do końca XV wieku. Historya budownictwa weneckiego takiego jakiem je widzieć można szczególniej w kościołach Wenecyi, dałaby się swobodnie podzielić na cztery epoki, bardzo od siebie różniące się stylem, tak że je z całą łatwością rozróżnić można. Kilka głównych przybytków każdej epoki dokładnie jej charakter oznaczą.

Pierwsza epoka która datuje mniej więcej od roku 1000 liczy się do końca XV wieku. W tych odległych czasach przemaga wpływ Grecko-Wschodni. Mały kościołek Świętej Foski (niewiem jak się tłomaczy *Santa Fosca* ale sądzę że tej świętej nie zna chyba nasz kalendarz) na wyspie Torcello niedaleko od Wenecyi wraz z katedrą są głównemi zabyt-

---

Stanów Zjednoczonych w mieszkaniu swojem, na cel ten ogłosił. Gromadka ich była podobno podobną (darujcie zbieg wyrazów!) do gromadki owych zbłąkanych owieczek, co na głos pasterza wychodzący skądś, z głębi lasu, zebrałyby się pod lasem i.... nie wiedziały co z sobą zrobić. Zadeklarowano drugie posiedzenie. Daj Boże, aby to było liczniejsze i... *niekomiczniejsze*. Tymczasem sługa wasz myśli bajkę napisać, p. t. „Wystawa—niedbałość i Filadelfia.“ Będzie to, powiadam wam, arcydzieło dowcipu i humoru, jeżeli się tylko napisze; a wyryłem już na papierze wielkiemi literami, zwyczajem niektórych znakomitych literatów Warszawskich, nagłówek tego arcydzieła.

Teraz tylko pisać—i nic więcej.

A propos! Chcę właśnie powiedzieć, iż znam tu w murach naszego grodu pewnego młodego człowieka.... raczej *człowiekinią*, albowiem jest nim kobieta, który, raczej która, same tylko takie tworzy nagłówki. Mając przyjemność odwiedzać tę autorkę bardzo często, znajduję na biórku jej w salonie, plikę papierów za każdym razem, której każdy prawie arkusz zapisany jest u góry, podobnym, wielkobrzmiącym, wielkiego, zamierzonego arcydzieła, tytułem.

Stoi więc tam na jednym arkuszu:

„Miłość i niedołęztwo“—dramat obyczajowy, na tle filozoficznem, osnuty przez M. S.

Na drugim arkuszu:

„Psik i bzik“—komedya w dwóch ustępach czyli odsłonach, pomyślana na kanwie ostatnich czasów, przez M. S.

Na trzecim znowu:

„Rodrygo i Efimandragonia“ — romans w duchu celtyckim, w pięciu tomach, z prologiem i epilogiem, przez M. S.

Na innym jeszcze arkuszu:

„Kłucie cerca czyli spazmy uczucia“—fantazmat legendowy, wyprowądzony z żywego opowiadania, przez M. S.

Na innym dalej:

„Okropne skutki bezbożności“ — artykuł przeznaczony dla Kroniki Rodzinnej przez M. S.

Potem znowu:

„Oda do Darwina.“ — (Ten wiersz pewno stworzono dla Przeglądu Katolickiego! Przyp. kronikarza).

Nareszcie, a to już wczoraj świeżo znalazłem:

„Wściekłość i zaciekłość“ — studium psychiczne ze świata logiki, napisane przez autorkę: „Miłości i niedołęztwa,“ „Psika i bzika,“ „Rodryga i Efimandragonii,“ „Kłucia serca czyli spazmów uczucia,“ „Okropnych skutków bezbożności,“ Ody do Darwina“ etc..... etc..... I na tym arkuszu nie stało już M. S.

Autorka rzeczona od lat piętnastu bawi się już w podobne tworzenie projektów do arcydzieł, których nigdy nie będzie miała możności ani nawet chęci (bo jest przytem mocno leniwa!) napisać. Wiek jej już dochodzi swojego zenitu, albowiem lat ma około... 50 (jeśli o tej rzeczy kiedy się mówi) — autorka ma czworo dzieci i biednego męża, co krwawo na utrzymanie domu pracuje... Co za cel, powiedzcie mi państwo, podobnej zabawki?

kami tej epoki. Jestto gmach ośmiokątny, otoczony portykiem dziesięciu słupów marmurowych i zakończony kopułą, zadziwiającej trwałości w budowie, kształtną choć nieco dziwaczną. Katedra która stoi tuż obok jest zabytkiem XI wieku. Ma ona trzy nawy, z których środkowa jest sformowana z osiemnastu wielkich kolumn marmurowych różnym zakończonych porządkiem; mury są wykładane marmurem różnokolorowym, a posadzka mozajkowa charakteryzuje epokę budynku. Wielki obraz z mozajki nad wejściem jest jednym z największych w tym rodzaju i zdaje się pochodzić z Bizancyum. Chrzcielnica na zewnątrz umieszczona wedle starego zwyczaju średniowiecznego, jest rotundą ozdobioną słupami pięknego marmuru, odłamkami dawnych może Ateńskich pomników. Bazylika Ś-go Marka i fasada frontowa kościoła Ś-go Donata na Murano do tej samej należą kategoryi.

(*D. c. n.*)

O WIETRZE.

III.

Wpływy drugorzędne.— Zboczenia od prawidłowości. —Szczególne wiatry miejscowe.—Harmattan.—Mussony.—Etezye.—Wiatry nadmorskie i górskie.—Chamsin.—Samum.—Sirokko.—Fen.—Bora.

Gdyby powierzchnia ziemi była zupełnie jednorodną, jednostajną, gdyby nie występowały na niej sprzeczności lądów i wód, wyniosłości i nizin, gór i lądów, lasów i pustyń, wspaniały obieg wiatrów, wywołany działaniem słońca i obrotem dziennym ziemi [1]), utrzymywałby się bez zaburzeń, a następstwa zjawisk meteorologicznych okazywałyby stateczność zjawisk astronomicznych. Tak jednak nie jest; tu łańcuch gór wstrzymuje pochód wiatru, rozbija go i odrzuca, tam znów lasy i łąki, wzgórza i rozległe równiny, rozmaicie rozgrzewane przez słońce, wywołują różne zboczenia w kierunku wiatrów; a nad tem wszystkiem góruje rozmaitość własności cieplikowych wody i lądu stałego. Woda nader się powoli rozgrzewa i również wolno stygnie, tak, że różnica temperatury wody między dniem a nocą nie przechodzi 2 stopni ciepła termometru stustopniowego; na lądach zaś różnica ta może być bardzo znaczną, a zmiana temperatury lądu udziela się natychmiast spoczywającej na nim warstwie powietrza. Wiemy już zaś, że różnica temperatury powietrza w dwu miejscach wywołuje bezpośrednio ruch powietrza. Powietrze silniej ogrzane rozszerza się, rozrzedza, uchodzi w górę, a natomiast powołuje powietrze z miejsc otaczających. W ten sposób powstają na różnych punktach globu wiatry niezależne od wiatrów zasadniczych, od passatów wiejących od równika i od bieguna i wikłające takowe; wspaniała teorya Halleya pozostaje tylko tłem niejako, na którem malują się najrozmaitsze figury, zakrywające tło często tak dalece, że go uchwycić niepodobna.

[1]) Ob. Nr 40 „Ogniska Domowego".

Na rozległych tylko morzach passat może bez zakłucenia rozciągać stateczne swe panowanie; na lądach wszędzie występują przyczyny drugorzędne, które prawidłowość jego mniej lub więcej zrywają. Gdzieniegdzie tylko jednostajność gruntu pozwala mu dosyć jawnie występować. Tak np. niedostatek deszczów i brak prawie zupełny roślinności w północnej części Afryki środkowej okazuje niewątpliwe istnienie statecznego wiatru północno wschodniego. Wiatr ten przybywa do Afryki w kierunku ukośnym, po przebieżeniu wyżyn azyatyckich, na których oswobadza się z zawartości pary wodnej i rozgrzewa się silnie, tak, że do tej tajemniczej niemal dotąd przestrzeni przybywa suchym i palącym, a obecność swą zdradza aż na wybrzeżu zachodniem Sahary, gdzie znany jest pod nazwą *harmatanu*, chociaż kierunek jego jest tam nieco zmieniony z powodu sąsiedztwa oceanu.

W wielu jednak miejscach ziemi zboczenia nawet od prawidłowości przedstawiają także uderzającą regularność. Najsilniej występuje to zjawisko w części północnej oceanu Indyjskiego. Tam w półroczu zimowem, od października do marca wieje statecznie wiatr północno-wschodni, w półroczu natomiast letniem wiatr południowo-zachodni. Regularne te wiatry noszą nazwisko *mussonów* czyli *monsumów*, któreto nazwisko pochodzi prawdopodobnie od wyrazu arabskiego *mausim*, oznaczającego zmienność, porę, rzeczywiście bowiem mussony dzielą rok na dwie pory, wybitnie się między sobą różniące. Sprzeczność dwu tych wiatrów łatwo się tłómaczy przez ustrój tej okolicy. Musson północno-wschodni jest poprostu zwykłym passatem, który zwłaszcza od grudnia do lutego daleko na południe się wdziera. Podczas silnych jednak upałów letnich jałowe wyżyny Azyi środkowej i grzbiet Himalajów rozgrzewają się silniej daleko niż morze i według tego, cośmy wyżej powiedzieli, działają niby pompa ssąca, pociągająca powietrze z nad oceanu Indyjskiego ku północy, tak, że w miejsce zasadniczego wiatru północno-wschodniego, występuje musson wiejący w stronę przeciwną. Nasycony wilgocią wyziewaną z olbrzymiego zbiorowiska wody, jakie ocean Indyjski przedstawia, południowo-zachodni ten wiatr skrapia ulewnemi deszczami wybrzeże Malabaru i stoki południowe Himalajów, szczytów których nie przechodzi. Obfitość ta wód jest zapewne główną przyczyną osobliwego zjawiska, że na stokach południowych Himalajów wieczne śniegi schodzą o 3000 prawie stóp niżej niż na stokach północnych. Gdy słońce w rocznym swym obiegu opuszcza półkulę północną aby podążyć ku zwrotnikowi Koziorożca, ustaje silne rozgrzenie lądu Azyi środkowej, przyczyna sprowadzająca wiatry z morza Indyjskiego przechodzi i wiatr północno-wschodni wchodzi znowu w swe prawa. Regularne to następstwo dwu przeciwnych wiatrów wzbudziło już podziw greckiego żeglarza Hippalosa, a okręty mogą na morzu Indyjskiem liczyć z góry na wiatry przyjazne, które je w jedną lub drugą zaprowadzą stronę. Mussony te nie następują nagle po sobie; przejście jednego w drugi oznaczone jest ciszami, wiatrami zmiennemi i burzami, które czynią w tych czasach żeglugę, zwłaszcza na morzu Chińskiem, bardzo niebezpieczną.

Na mniejszą skalę występują podobne mussony i na morzu Śródziemnem; są to tak zwane przez starożytnych wiatry *etezyjskie* (od *etos*, rok). Rozgrzane w lecie piaski Egiptu i Sahary pociągają powietrze z nad morza Śródziemnego ponad ląd afrykański, a ruch ten udziela się i południowym okolicom lądu europejskiego, tak, że Włochy, Hiszpania, Prowancya, mają w czasie lata panujące wiatry północne. W zimie znów wybrzeża afrykańskie oziębiają się silniej niż wody morza Śródziemnego, a w skutek tego występuje wiatr południowy, wiejący od Afryki; zimowy ten jednak musson daleko jest słabszy i mniej wyraźny od letniego. Wiatr północny tak jest w ogóle w tych stronach przeważający, że według Marie-Davy'ego, drzewa na Balearach są pochylone w stronę południa.

Jak mussony i etezye wywołane są przez następstwo pór roku, tak zmiana kolejna dnia i nocy wywołuje z podobnej zupełnie przyczyny stateczne dzienne wiatry nadmorskie, wywołane przez różnicę temperatur wód i lądu. Podczas dnia ląd stały rozgrzewa się silniej daleko niż morze; już około 9 lub 10 godziny rano następuje zerwanie równowagi

---

Wiersz jeden, trzynasto-zgłoskowy, o dwudziestu rymach wolnych, z których czternaście kończyło się na *ości* a sześć pozostałe na *ła*, wiersz ten, mówię, raczej wydrukowanie tegoż wiersza w jednem z większych pism naszych, w czasach, gdy jeszcze też pisma drukowały najnaiwniej *poezye* zamiast *artykułów wstępnych*,—zrobiło z pani naszej taką twórco-mankę. I gdybyż to tylko ona jedna w Warszawie, tą samą drogą i pod wpływem tychże okoliczności, stała się taką autorką— ale wiemy że są setki całe podobnych twórców, którzy zamiast studyować pilniej w uniwersytecie lub chodzić regularnie do biura, trawią całe godziny dni i nocy nad wymyślaniem tytułów do arcydzieł, których nigdy z pewnością napisać nie będą w stanie.

Panowie *wielkości*, opatrzcie się na miłość *rozumu* Dajcie pokój *wielkim* krytykom swoim i wielkim szkicom filozoficznym! Nie mówcie tak dużo o *kariach*, które są dokoła was jakoby, i dyktując innym, *jak trzeba żyć i tworzyć*, żyjcie i twórzcie sami lepiej! Nie idzie za tem wszystkiem naturalnie, abym ja, sługa wasz czytelnicy, dla bajki swojej także nie postawił naprzód tytułu, który wymieniłem... no, no, i... abym tej bajki nigdy nie napisał. A, gdzieżby to! gdzieżby — to ja mówię o innych, innych tam. Ale ja... ja sam...

Zatrąciwszy tak o pisarstwo, o poezye, o literaturę i o pisma, przyjemnie jest nam przy okazyi podzielić się z wami nowością z tej sfery. Józef z Mazowsza, poeta prawdziwy,—a wiecie jak tych jest dziś mało, — autor dramatu „Margraf Gero" któryście zapewne mieli w ręku, i przedewszystkiem autor poematu „Pierwszy z dni nowych" drukowanego przed paroma laty w Tygodniku Ilustrowanym, istnego cacka poezyi, brylantu poezyi, który tylko w tak pozytywnych jak dzisiejsze czasach i śród społeczeństwa tak sennego jak nasze, mógł bez rozgłosu przejść przez dusze ludzi,— wypuszcza w świat wkrótce, napisany świeżo poemat większego pokroju, p. t. „Z motywów sumienia." Poznaliśmy tę pracę i mamy o niej swoje zdanie; jednakże nie odzywamy się z niem nateraz. Powiemy tylko: „jest w niej poezya!" Reszta do krytyków należy.

Oprócz tej, mieliśmy sposobność zapoznać się niedawno z inną jeszcze nowością literatury naszej, która, śmiemy utrzymywać napewno, wielkie na czytelników powinnaby wywrzeć wrażenie. Jest nią „Córa Chrobrego" rapsod epiczny Klemensa Podwysockiego. Odznaczywszy się dotąd pomiędzy nami głównie jako tłómacz Wiktora Hugo, i odznaczywszy wybitnie na tem polu, — p. Podwysocki daje nam teraz pracę oryginalną *prześliczną*, pełną rzeczywistej poezyi i siły, większą przytem objętością swoją i pomysłem. Cenimy ją na nią.

Zwracamy też uwagę czytelników na tłómaczenie tegoż pióra, rozpoczęte świeżo teraz w Tygodniku Mód i powieści, tłómaczenie znanego dramatu W. Hugo p. t. „Hernani." Winszujemy szczerze Tygodnikowi tego nabytku; żeby zaś pokazać iż rzeczy na wiatr nie chwalimy, podajemy ustęp z pierwszej zaraz seryi rzeczonego dramatu, którą w osta-

w atmosferze nabrzeżnej; powietrze nad lądem ogrzewa się i wznosi w górę, a dla zastąpienia ubytku tego zaczyna napływać powietrze nadwodne; *wiatr* ten *morski*, z początku lekki i słabo tylko powierzchnię morza kołyszący, wzmacnia się koło południa i zajmuje przestrzenie coraz od brzegu odleglejsze, koło piątej ustaje. Po pewnej ciszy ruch wiatrów się odwraca; ląd stygnie prędzej niż morze i odsyła mu powietrze, które, przejęte wilgocią, przynosiło mu w dzień ochłodę, *wiatr* ten *lądowy* rozpoczyna się około szóstej wieczorem i nad ranem ustaje, poczem znów następuje krótkotrwała cisza przed wystąpieniem wiatru morskiego. Wiatr lądowy sięga niedaleko na morzu; na lądzie natomiast zwykle znaczną przestrzeń zajmuje. Rozumie się, że wiatry nadmorskie tam są najwyraźniejsze i najsilniejsze, gdzie różnica między temperaturą dzienną a nocną lądu jest najznaczniejsza, t. j. znowu w okolicach zwrotnikowych. Wszędzie jednak drobne te mussony dzienne mniej lub więcej czuć się dają; ożywiają nawet brzegi większych jezior — w Szwajcaryi dobrze są znane. Charakterystyczne są bardzo w wąskich zbiorowiskach wód, jak np. w morzu Adryatyckiem. Każdego dnia wznosi z pośrodka długiej tej zatoki fala powietrzna, rozchodząca się w dwie strony przeciwne i orzeźwiająca z jednej strony wybrzeża Włoch z drugiej wyspy i góry Irlandyi i Dalmacyi. W nocy oba te półokręgi odwracają się i odnoszą powietrze od obu lądów ku środkowi zatoki.

(*Dokończenie nastąpi*).

ZASTĘPCZYNI PANI DOMU.

„Młoda, dobrze wychowana osoba, szuka miejsca jako wyręczycielka pani domu“.

Takie ogłoszenia codziennie w dziennikach czytamy.

Od niedawnego czasu nastała dopiero moda zastępczyń i wyręczycielek. Dawniej nasze babki i prababki same się gospodarstwem zajmowały, dziś nasze panie są zanadto słabe, zanadto nerwowe do podobnych czynności, starają się o biedne panienki, któreby za nie herbatę nalewały, konfitury smażyły i kucharzowi codziennie masło, mąkę i inne zapasy spiżarniane wydawały.

Z drugiej strony spójrzmy na owe biedne panienki, napraszające się na wyręczycielki; cóż to są za jedne?

Są to córki podupadłych obywateli lub urzędników—które fałszywym wstydem przejęte, zamiast oddania się jakiemu bądź fachowi, lub rzemiosłu, dopóki rodzice żyją, w domu niczem się nie zajmują — grają po kilka godzin dziennie na fortepianie, rysują, wyszywają na kanwie, lub czytają romanse. Do gospodarstwa domowego żadna z nich ręki nie przyłoży — niech tam matka męczy się w kuchni z nieumiejętną kucharką (gdyż na lepszą funduszów nie starczy) a panny od rana marzą o jakimś zaczarowanym księciu, który kiedyś, kiedyś, ma po nie przyjechać i wyrwać z tej niedoli. Podobne panienki miewają zawsze dziwne sny prorocze, którym wierząc i mając głowę zaprzątniętą podobnemi bajaśniami pomimowolnie oczekują czegoś nadzwyczajnego, są zdenerwowane, znudzone i niesposobne do życia praktycznego. I jakiż tego koniec? oto młoda osoba, przedwcześnie niszczeje, więdnie, dostaje rozmaitych wymyślonych i prawdziwych chorób z powodu ciągłych zmartwień i zgryzoty, a w końcu po śmierci rodziców, zostaje starą panną i albo żyje na łasce krewnych, albo szuka miejsca łatwego, gdzieby zachowując poniekąd swoje dawne położenie, miała lekką i niezbyt uciążliwą pracę.

Lecz zachodzi tu pytanie, czy tego rodzaju osoby są usposobione do tej pracy? Gdyż wierzajcie mi, nie jest to rzeczą łatwą zastąpić panią domu, i zachować swą godność w obec sług i domowników. Zastępczyni powinna dorównać w umiejętności gospodarczej samej pani, a nasamprzód powinna znać się na kuchni, praniu bielizny i naprawianiu jej; musi też mieć pewne wyobrażenie o krawiecczyznie, ażeby w potrzebie mogła dozór mieć nad szwaczką i sama kosztowniejsze materye umiała przykrajać; jednem słowem potrzeba ażeby osoba obca, wchodząca w dom, stała się jakby starszą córką gospodyni, zastąpiła ją we wszystkiem, i do wszystkiego ręki przyłożyła. Tymczasem, jakże się to zwykle u nas dzieje? Oto panna biedna, bez posagu, ale z wymaganiami milionowej dziedziczki, nie znalazłszy odpowiedniej dla siebie partyi, zirytowana widokiem szczęśliwszych od siebie przyjaciołek, którym los zesłał mężów, zapominana i odosobniona na balach, gdzie młodzież się uwija około nadmłodszych—przykrzy sobie pod dachem rodzicielskim i marzy o wylocie. Trafia się miejsce zastępczyni i pomocnicy, bierze je, nie bacząc na swą nieświadomość gospodarczą. Po pewnym przeciągu czasu, spostrzega, że pani domu nie żartem wymaga dozoru nad sługami i pracy obwinia ją więc o tyranią, nieludzkość, i znowu zaczyna marzyć, jakby się, z tej nowej niedoli wyrwać. Przy pierwszej lepszej sposobności, namarzywszy do woli, o dachu rodzinnym, powraca do starego gniazda, lub do domu krewnych i przyjaciół, gdzie stosunki familijne, nie dozwalają wymagać pracy od nowej rezydentki. Wszystkie iluzye upadły, rozczarowana i stęskniona młoda jeszcze osoba, starzeje się przed czasem, gnuśnieje, narzekając na los i ludzi.

Pozwólcie mi zapytać szanowne czytelniczki, w czem los i ludzie są winni, że się wam pierwsza próba nie udała?

Sameście winne, jeżeli zamało macie doświadczenia w gospodarstwie, a raczej winny wasze matki, które zaniedbały praktyczną część waszego wychowania.

Otóż młode moje czytelniczki, które życzycie obrać sobie zawód wyręczycielek pani domu, jeżeliście należycie do tego usposobione, postępujcie śmiało tą drogą, staniecie się prawdziwie pożytecznemi, będziecie kochane i szanowane przez rodzinę—i dom, w któregoście progi wstąpiły. Wy zaś. dla których znajomość gospodarstwa i umiejętne zarządzanie domem, jest rzeczą nową — nabądźcie wprzód w zakładach na ten cel urządzonych, pierwszych chociażby wiadomości, któremi kierowaćbyście się mogły.

Nie upadajcie na duchu, a raczej pomnąc na nasze stare przysłowie, że: „Jak cię widzą tak cię piszą!“ starajcie się, pilnością i nieustanną pracą—przekonać, że rola zastępczyni pani domu, nie jest rolą podrzędną—starajcie się, a zjednacie sobie szacunek u ludzi postronnych, miłość zaś i zaufanie rodziny z którą was los zespoli.

Z ZAGRANICY.

VI.

Andersen.— Baśnie.— Żołnierz ołowiany i lalka papierowa.— Jeszcze o zawiedzionych nadziejach Niemców. — Przyczyny rozkwitu sztuki.— Wystawa w Filadelfii.—Klaka paryska.

Winniśmy przedewszystkiem wspomnieć o śmierci jednego z pierwszych, a głównie jednego z najprawdziwszych poetów współczesnych.

Przed paroma tygodniami zmarł w Kopenhadze Hans Krystyn *Andersen*, poeta duński. Nie dawniej jak wczesnej kronice naszej wspomnieliśmy o znakomitym współrodaku zmarłego, o Thorwaldsenie. Postaramy się i w przyszłości od czasu do czasu poznajomić czytel-

tnim swoim numerze, wzmienione pismo podało właśnie czytelnikom.

Ze sceny II-giej szpalta srodkowa—str. 389:

Hernani.

Pośród tej ponurej dziczy—
Pośród tych ludzi, których imiona kat liczy—
Ludzi, których i serca i miecz twarde zawsze,
Których zemsta namawia na czyny najkrwaw-
[sze—
Ty, na czele mej bandy, jak ją świat nazywa,
Bo jestem—tak—bandytą!? Nie wiesz nie-
[szczęśliwa!
Gdy Hiszpania ścigała każdy krok bandyty—
Gdym czaił się, to w puszczy to w górach
[ukryty,
Lub w jaskiniach, gdzie orzeł dostrzegał
[mnie zrzadka—
Katalonia przyjęła mię, jak dobra matka.
Wyrosłem tam, wśród górskich z wolną pier-
[sią ludzi,
I jutro, skoro róg mój echo gór obudzi,
Trzy tysiące tych zuchów... Przejmują cię
[dreszcze?—
Ty bledniesz?—Jeszcze pora!—Zastanów się
[jeszcze!
— Iść ze mną, w puszcz ostępy, w góry? — i
[do kogo?
Do ludzi, co jak widma snów, przejmują
[trwogą!
Bać się głosu ludzkiego, spojrzenia i prawie
Swych cieniów—pić ze źródła a spać na mu-
[rawie—
I w nocy pierś odrywać od ustek anioła
Na szelest kul, w powietrzu warczących dokoła;
Błąkać się z potępieńcem—i gdy z dumą *syna*
Wejdzie na szafot *ojca*, pójść za nim... jedy-
[na!

Tyle na dziś o poezyi.

Sztuki inne—rzeźbę, malarstwo, architektórę nawet, teatr i teatryki—i to że przyjechała pani Modrzejewska—i to że p. Królikowski powróci zapewne wkrótce—że wróci do zdrowia bo jest chory — i że grali Don Karlosa w teatrze letuim a u pana Grabińskiego chcą grać „Jawnutę“ operę Moniuszki.... to wszystko i o tem wszystkiem, z dodatkiem jeszcze innych tysiąca nowin, z których jedna ciekawsza od drugiej (a juści!) pomieszczę w przyszłym felietonie... (da Pan Bóg doczekać)!

ników ze znakomitymi ludźmi Danii. Kraj ten bowiem, albo raczej przedstawiciele inteligencyi jego, mniej są u nas znani, jakkolwiek posiada Dania znakomitych poetów, malarzy, rzeźbiarzy i żurnalistów. Przedewszystkiem zaś sam naród ma bardzo wiele cech sympatycznych i niezwykle podobnych do właściwości psychicznych narodu polskiego. Zarówno tu jak tam rozwinęła się prawie współcześnie tak zwana szkoła romantyczna w poezyi, poprzedzona epoką francuskiej imitacyi, zarówno u nas jak i w Danii, wystąpił nagle (jeśli w sztuce istnieją nagłe wystąpienia) szereg nieposolicie utalentowanych malarzy, w zakresie narodowego malarstwa. W życiu towarzyskiem również spostrzegamy cechy wspólne: mianowicie pewną sztywność i chłód przy grzeczności i elegancyi w obec braku knajpiajskiej rubaszności germańskiej i braku zbyt szampańskiego humoru francuskiego.

Andersen, syn ubogiego szewca, po długich walkach z życiem i jego potrzebami doszedł nareszcie do znacznego rozgłosu i uznania zarówno w ojczyźnie swojej jak i za granicą. Pisywał on utwory w różnych kierunkach, w powieściowym, dramatycznym i ludowym. Ten ostatni rodzaj najbardziej przypadał do talentu poety i w tym też kierunku zasłynął. Baśń ludowa najmniej obecnie licząca apostołów poetycznych, znalazła w Andersenie znakomitego przedstawiciela; świeżość uczucia, silny humor, niezwykła doza poetycznej naiwności wytwarzały owe alegoryczne pełne czaru poezye. Ileż serdecznego ducha i ciepła mieści się np. w „Żołnierzu ołowianym i papierowej lalce". Był sobie wojak ołowiany i dziewczeka z papieru. Dzielny wojak zapałał silną choć spokojną i tajoną miłością do lalki papierowej. Ale jak to zwykle bywa na świecie, niegodziwe losy zazdroszczą kochającym się parom. Powstaje tedy mocny wicher, porywa naszą tekturową pannę i unosi do pieca, w którym też spłonęła na popiół. Rozmiłowany w nieboszczce żołnierz począł tęsknić za swoją ukochaną, targany więc rozpaczą, spada do komina, gdzie ołów jego dzielnej istoty roztapia się, kładąc koniec miłosnym żalom nieszczęsnego.

Żadna może z literatur współczesnych nie posiada tak oryginalnego poety, jak Andersen. Muza jego dziwnie odbija od praktycznego ducha czasów naszych i dowodzi zarazem tęgości talentu Andersena. Nie brak dziś wprawdzie kwiląctych i sentymentalnych wieszczów starających się uderzać w sposób niemowlęcy na zepsucie naszych czasów (którego nigdy nie brakowało), ale są to tylko daremne szamotania się. Andersen objektywnie tworząc poezye z zakresu młodzieńczej fantazyi, przekonywa że siłą talentu prawdziwego można rozbudzić dzięki głębszej rzewności przypominające dawno ubiegłe chwile epok naiwnych.

Andersen urodził się 2 kwietnia 1805 roku w Odense. Prace jego tłómaczono prawie na wszystkie języki Europejskie.

* * *

W zeszłej kronice wspomnieliśmy o zawiedzionych nadziejach niemieckich uczonych i estetyków, którzy rozwojowi poetycznej, a zwłaszcza dramatycznej literatury Niemiec przepowiadali rozkwit niezwykły. Nadzieje te opierano na wyraźnie sformowanej i rozwiniętej politycznej potędze narodu.

Zarówno nadzieje te jak i *podstawa* na której budowano takowe nie miały żadnej racyi bytu. Zdaniem bowiem naszem we właściwych Niemczech nie wiele się zmieniło. Urosły tylko Prusy w potęgę, ale i to w potęgę militarną. Skądże ów asumpt do rojeń poetycznych, które widocznie powstały pod wpływem patryotyczno-niemieckiej extazy. Nie ma wątpliwości, że zaszły zmiany w politycznej organizacyi Niemiec, ale te wywołane zostały militarną siłą narodu niezbyt poetycznego. Z wzrastającej zaś potęgi politycznej przepowiadać wzrost poezyi i sztuki nie ma najmniejszej przyczyny. Dzieje bowiem nas uczą, że reguła tu prawnie jest niemożliwą i że sztuka bardzo rozmaitych i różniących się między sobą epokach powstaje. Raz widzimy, że rozkwit sztuki idzie w parze z zenitem rozwoju narodowego jak w epoce peryklesowej. Dalej jednak spostrzegamy, że sztuka może pojawić się w chwilach narodowego rozszczepienia i politycznego nieładu, dowodem Renesans we Włoszech. Dalej znów widzimy jak szereg znakomitych ludzi poprzedza i towarzyszy nadzwyczajnym przewrotom społecznym politycznym narodu np. wielka rewolucya we Francyi.

Widzimy tedy z tych kilku, sądzę bardzo wyraźnych i mówiących przykładów, że doktrynerski zapał Niemców i ich zbyt ścisłe teoretyczne wywody tym razem (przypuszczam i w wielu innych razach), silnie zawiedzionemi zostały. Z powyższych przykładów również przypuszczać można było, że w obec znacznych zmian politycznych i patrotycznych tryumfów rozbudzić się może nowy duch w dziedzinie poezyi niemieckiej, że z łona nowo zorganizowanego narodu, wyjść mogą ludzie nowi, ale w każdym razie przepowiednie owe były zbyt pospieszne i jak powiadamy doktrynerskie.

* * *

Jakkolwiek do Ameryki jest daleko, a do Filadelfii nie bliżej, zmuszony jednak jestem jako człowiek cywilizowany, zawieść czytelników „Ogniska" do owego amerykańskiego grodu na wystawę powszechną. Czynię to dla tego teraz, że was przewieść mogę gratis, ponieważ jeszcze nie nastąpiło oficyalne otwarcie wystawy.

Że Filadelfia liczy 800,000 mieszkańców, i ma 133,000 domów, że liczba tych ostatnich wzrasta rocznie o 6,000, że gmachy wystawy budują się w parku Fairmount, który leży w północno-zachodniej części Filadelfii, że ten wspaniały park ma 2,740 akrów rozległości, i że wystawa otwartą zostanie 10 maja roku pańskiego 1876, o tem wszystkiem zapewne wiecie i dlatego to pomijam.

Nie wiadomo wam jednak może, że miasto wyznaczyło na budowę wystawy aż sześć milionów dolarów, nie zrzekając się większych jeszcze na przyszłość wydatków celem upiększenia wystawy.

Naturalnie, że głównym celem podobnej wystawy jest przedstawienie postępów przemysłu i wynalazków. Wprawdzie od ostatnich wystaw europejskich zarówno przemysł jak i wynalazki nie uczyniły tak znacznego postępu, aby warto było ponosić znaczne koszta i kłopoty na urządzenie nowej już wystawy. Jeżeli więc Filadelfia gotuje się do owej przemysłowej uroczystości, to dlatego, że Ameryka po raz pierwszy z wystawą powszechną występuje i że mimo ułatwionej komunikacyi nie mogła istotnie silnego wziąć udziału w wystawach europejskich.

Na wystawie tej mieścić się będzie osobny oddział z granitu i z cegły wybudowany, a poświęcony utworom sztuki. Oddział ten nazywać się będzie *przybytkiem wspomnień*, koszta budowy jego wynoszą 1,500,000, dol. Budynek poświęcony maszynom, kosztuje 550,000 dol. i tak dalej. Obliczają przypuszczalnie, że wystawa cała kosztować będzie 8,500,000 dol.

Komitet wystawy postarał się, aby uczynić wszelkie możliwe ułatwienia komunikacyjne. Na odległość stu i dwustu mil mają być urządzone pociągi pospieszne. Od New-Yorku jest dwie godziny jazdy do Filadelfii; new-yorczycy więc będą mogli udawać się na wystawę spacerem. Sądzę, że niezapomną o Europie, ba, nawet o kochanej Warszawce pamiętają, skoro ustanowili pośrednika wystawowego w osobie amerykańsko-północnego konsula Warszawskiego bankiera Rawicza.

* * *

Na zakończenie kroniki dzisiejszej powiem słów parę o pewnym bardzo głośnym żywiole paryzkiego świata teatralnego.

Gazeta „Siécle" w jednym z ostatnich swoich numerów pomieściła ostry artykuł o coraz silniej wzmagających się nadużyciach „klaki" teatralnej w Paryżu. Przyczem wspomniona gazeta cytuje taryfę (bardzo wesołą) wyjętą z książki p. t. „Życie teatralne" byłego aktora, który o owych nadużyciach w jednym z bulwarowych teatrów takie podaje cyfry:

„Zwyczajny oklask kosztuje 5 fr., oklask frenetyczny 15., oklask powtórny 20 fr., powtórna salwa 25 fr., zwykłe przywołanie 25 fr., przywołania w ciągu całej sztuki 50 fr., okrzyk przerażenia 5 fr., (bardzo tanio), szmer oznaczający zgrozę, a mający znaczenie jakoby klaskającym (niby naturalnie publiczności) zbrakło już sił do klaskania 15 fr., efekt aplauzu zdający się być z początku szykaną, tłumioną następnie i oddany tak, jak gdyby dobrze myśląca część publiczności odniosła zwycięztwo nad ukrytą jakąś intrygą 32 fr., długo trwające łkania z towarzyszeniem aplauzu w końcu sceny morderstwa 12 fr. 50 centimów (!), szmer radosny 5 fr., śmiech 8 fr., (tyleż kosztuje objad, w Grand Hotel); serdeczny śmiech 10 fr., wykrzyknik Ah! jakie zajmujące 15 fr., „Ah trudno o coś zabawniejszego" 20 fr., i t. d.

Autor wspomnianej książki dodaje, że istnieją specyficzne umowy dyrektorów z naczelnikiem klaki co do wykrzykników przy wyjściu, polegających na podobnych frazesach: „Jaka to dobra trupa, lepiej grają aniżeli w Teatrze francuskim, jaki to wyborny dyrektor ten p. M. i t. d.

Z DOMU I DLA DOMU.

— **Cielęcina.**—Najdelikatniejszego a przytem dość pożywnego mięsa dostarcza cielę karmione przynajmniej cztery tygodnie mlekiem i surowemi jajami. Dobroć cielęciny poznaje się po białości mięsa i łojku, którym oblane są nerki. Czerwone mięso z żółtawym łojkiem jest mniej delikatnem i soczystem jako pochodzące z cielęcia, które przestało być żywione mlekiem własnej matki, a miejsce owego naturalnego pokarmu zastąpiono paszą zwyczajną lub polewkami mącznemi.

Przy wyborze mięsa uważać należy, aby nie miało w sobie zbyt grubych kości; pochodzące zaś z jałówek jest daleko bielsze i delikatniejsze niż z ciołaczków, choć z tych ostatnich znacznie wyważniejsze. Własność ta jest wspólną w mięsach pochodzących od wszelkich reproduktorów że jest nadzwyczaj wywaźną, w gotowaniu jednakże wyrzuca z siebie znaczną ilość szumowin i kurczy się nadzwyczajnie.

Choć wołowina jest daleko pożywniejszą od cielęciny, wszelako ta ostatnia przewyższa ją, nietylko swą delikatnością, ale i rozlicznem zastosowaniem w przyrządzaniu jej na pokarm. Dzieli się na następne gatunki i służy do poniżej wymienionych użytków.

1—2—3. Dyszek wraz z częścią nerkową (forszlag) zawierający w sobie największą ilość cieczy mięśniowej i najściślej zwarte włókno mięsne, jest nader ważnym nabytkiem dla kuchni,—z tych Nr. 1 pieczony, duszony, lub gotowany daje najdelikatniejsze a przytem bardzo smaczne pożywienie—Nr. 2 i 3 na sznycle i kotlety, a całość daje znaną powszechnie pieczeń cielęcą.

4 i 5 Golonka do rosołów lub na białe zupy, a podbiwszy śmietaną lub żółtkami od jajek daje się przerobić na rozmaite zupy.

6—7—8 Górka na kotlety.

9—10 Mostek duszony, faszerowany lub gotowany.

Pozostałe części mają rozliczne zastosowanie a przyrządzone odpowiednio, nietylko dają smaczne, zdrowe i pożywne pokarmy, ale stanowią najwykwintniejsze ozdoby, najzamożniejszych stołów. Móżdżek i mleczko jako bogate w kwas fosforowy, tyle potrzebny naszemu mózgowi, stanowią przyjemną łakotkę dla najwykwintniejszego podniebienia. Główka w galarecie, lub też pod ręką zdolnego kuchmistrza zamienia się w żółwia, z której smakosze pożywają słynną zupę żółwiową. Należy to jednakże do tajemnic kulinarnych z któremi nieomieszkamy stopniowo zaznajamiać łaskawe na nas czytelniczki, tak samo jak zupa z gniazd jaskółczych, acz przyrządzona z rośliny zwanej szuwarem porostowym (Sphaerococcus lichonoides) rozpuszczonej w soku cytrynowym z pieprzem.

Nóżki do galaret, auszpików;—wątróbka do najrozmaitszych faszów, a nadto kruszki, dudki, wedle dowolnego użytku, oraz krew w braku juszki wieprzowej.

Poślednia ćwiartka cielęciny, pochodząca zwłaszcza z cztero do ośmiotygodniowych cielaków, jest dla każdej bezwarunkowo kuchni tak większej jako i mniejszej nader pożądanym nabytkiem, jako dostarczająca odpowiedni produkt do rozmaitych celów. Im większa jednakże tem korzystniejsza, nawet dla tych familii, które jej od razu skonsumować nie mogą. Różnica bowiem w wywadze kości znajdujących się tak w mniejszej jako i większej ćwiartee jest mało znaczną, a w większej nieporównanie smaczniejsze znajduje się mięso, jako więcej zwarte w mięśniach i obficiej zawierające w sobie cieczy mięsnej niż w małych.

Praktyczna gospodyni mając mniej liczną ilość domowników do nakarmienia, a większą ćwiartkę cielęciny, niżby ją skonsumować na raz zdołali tak sobie postąpi. Po przyniesieniu z jatki lub piwnicy obmyje ją starannie i namoczy przez godzinę w zimnej wodzie, aby się w niej tkanki muskularne łatwiej rozpuściły czyli rozmiękły. Następnie odejmie od niej golonkę i górkę i uformuje pieczeń. Z górki wykroi odpowiednią liczbę plastrów na zraziki lub sznycle krakowskie, drobniejsze zaś kawałki na siekane kotlety. Z golonki, łaty, kości i żył ugotuje rosół lub inną zupkę; pozostałe zaś mięso jak w letniej porze, zakonserwuje w kwaśnem mleku w którem jeśli będzie odmienianem codziennie zachowa pożądaną świeżość najmniej przez kilka dni. Niektórzy zwykli i z pieczeni wyjmować kość środkową zwaną giezelem, która tylko mięso wysusza, a wygotowana na rosół daje dobrą podprawę do sosu lub zupy.

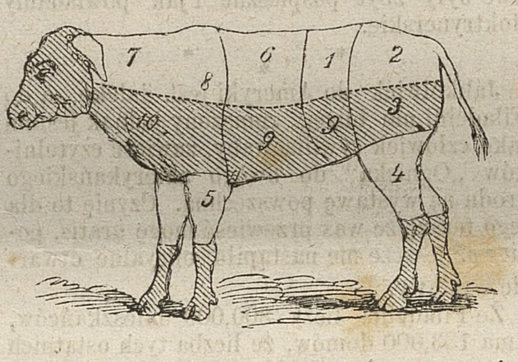
*
* *

Mówiąc o cielęcinie poczuwamy się niejako do obowiązku podać do wiadomości naszych czytelniczek przepis robienia zupy żółwiowej, których mamy właśnie kilka pod ręką, a w każdej główną odgrywa rolę łebek cielęcy jako nieporównanie łatwiejszy do nabycia niż żółw.

Najpraktyczniejszy sposób przyrządzenia tej zupy jest umieścić w oknie wystawy sklepowej paru żywych żółwi, w kuchni zaś tymczasem ugotować półkwarty dobrego bulionu na smaku z włoszczyzny, aby był tęgi i wlać doń szklankę wina Madery lub Xeres. Do tego dodać kilka trufli świeżo ugotowanych i pokrajanych wtalarki wraz z odwarem w którym się gotowały, lub zakonserwowanych w maśle, pamiętając o tem aby nie żałować trufli, gdyż większa ich obfitość nadaje zupie smak zupełnie odrębny i podniesiony. Ugotować osobno starannie oczyszczoną skórkę z głowy cielęcej wraz z ozorkiem lub mleczko cielęce znajdujące się pod karczkiem, w wodzie z solą i włoszczyzną, dowolną część główki, ozorka i mleczka pokrajać drobno i włożyć do wazy a nadto dodać nieco amoretek i jajek ugotowanych na twardo pokrajanych na drobne ćwiartki. Dla tym większej iluzyi nieszczędzić przyborów aby zupę zrobić gęstą wydać na stół i wziąść za talerzyk rs. 2 dla podniesienia w niej tym większego smaku.

W podobny sposób przyrządzają się z domowych kapłonów bażanty, przestrzegając bacznie, aby za każdem podaniem ogon i gło-

Rzeźnicze przecięcie cielęcia z wskazaniem gatunków mięsa.



wa przybrane były w świeży papier starannie nożyczkami ustrzępiony i ufryzowany.

W podobny sposób przerabiają się stare kury i koguty na pulardy, bezwzględnie iż sprawozdania targowe tak szeroko rozpisują się o nich, podając nawet peryodycznie ich ceny jakie praktykują się na to ptastwo. My zaś wieloletniem naszem doświadczeniem zaręczamy całemu ogółowi naszych czytelniczek że pulard nietylko za Żelazną-Bramą, ale w całej Warszawie z latarnią Dyogenesa nie znajdzie, o czem każdy na talerzu bardzo łatwo przekonać się może, gdyż mięso pulard na udkach powinno mieć barwę biało-żółtawą, a nie niebieskawą jak to na warszawskich pulardach zwykle sią praktykuje.

Dalsze szczegóły odkładamy na potem.

(*D. c. n.*)

ROZMAITOŚCI.

Luźne notatki z podróży odbywanych po kraju

przez

J. L. Kaczkowskiego.

III

Przestrzeń kraju stanowiąca poprzednio gubernię radomską, z której utworzono dzisiejsze gubernie radomską, kielecką a nadto 25,2 mil kwadratowych powierzchni przyłączono do gubernii petrokowskiej pod nazwą powiatu będzińskiego, pod względem rozwoju i jakości w stanie naturalnym rosnących roślin, podzielić można na cztery główne działy, stanowiące wyraźniejszy wpływ na wegetacyę pewnych gatunków, ich wzrost, bujność, plenność nasion i obfitość. Temi działami są:

1. Czarnoziem humusowy—opoki i gliny.
2. Czarnoziem wapnisto-gliniasty.
3. Gleba piaszczysto-gliniasta i piaszczysto-wapnista.
4. Bagna, iły i torfowiska.

Pierwszy dział gleby na tej przestrzeni, rozpoczyna się w południowej stronie dawnego powiatu olkuskiego, zajmuje cały poprzedni powiat miechowski i przechodzi za rzekę Nidę między Nowe Miasto, Korczyn, Pacanów i Stopnicę, w okolice Bogoryi, Iwanisk, Sandomierza, rzeki Opatowki, Opatowa, Ćmielowa, Ożarowa, Glinian, Sienna, Solca, Lipska i Janowca; dalej ciągnie się po nad lewym brzegiem Wisły od Góry Puławskiej aż do Kozienic. Na tej przestrzeni jako zawierającej najwyborniejszą glebę, pszenica wydaje od dziewięciu do dwunastu ziarn, zwłaszcza około Słomnik, Proszowic, Igołomji, Szkalbmierza i Nowego Brzeska.

Drugi dział gleby *wapnisto-gliniastej*, nieco przykryty gliną potopową, zajmuje południową stronę dawnego powiatu kieleckiego, a dziś andrejewskiego, mianowicie: od Wodzisławia w kierunku Żarnowca, okolice Jędrzejowa w kierunku Szczekocin, okolice Małogoszcza, Secemina i Włoszczowy. Na gruncie tym mniej pszennym a więcej żytnim, pszenica wydaje przy dobrej i staranej uprawie najwyżej dziesięć ziarn i nie jest tak ciężka i dorodna jak proszowska lub szkalbmierska.

Trzeci rodzaj gleby *piaszczysto--gliniastej, piaszczysto-wapnistej* i nakoniec *skalistej*, przykrytej bardzo cienką warstwą ziemi roślinnej, największą zajmuje przestrzeń w tej miejscowości i najwłaściwszy jest pod zasiew żyta, którego wydaje sześć ziarn, a w latach pomyślnych do dziesięciu i służy za wyborne pastwisko dla bydła i owiec. Zajmuje stronę północno-wschodnią dawnego powiatu olkuskiego, rozpościera się również od Małogoszcza do Chęcin, w okolicach Kielc i Daleszyc, od Stopnicy do Buska około Pinczowa i Chmielnika. W dawnych powiatach, opoczyńskim i opatowskim okolice Suchedniowa i po nad lewym brzegiem rzeki Kamienny a prawym Pilicy. Zajmuje również największą część dawnego powiatu radomskiego wyjąwszy okolic Skaryszewa, Radomia i Białobrzeg, gdzie są grunta błotne i sapowate.

Gleba wreszcie *ilasta*, *torfiasta*, *błotna*, słowem pod uprawę najmniej przydatna, uważając pod względem przedostatniego administracyjnego podziału zajmuje w powiecie radomskim okolice: Radomia, Skaryszewa i Białobrzeg z wyłączeniem gruntów rozpościerających się nad brzegami Pilicy. Znaczną część powiatu opoczyńskiego, poprzecinaną licznemi rzekami i błotnistemi strugami, oraz północną stronę powiatu olkuskiego. Wszędzie tu gleba jałowa, płonna, zaledwie trzy, a czasem w razie nadzwyczajnych urodzajów sześć ziarn żyta lub owsa wydać może. To prawdziwie macosze uposażenie okolicy uwieczniło się w znanej powszechnie przypowieści:

Opoczyńskie słynne kraje;
Korzec wsiej,—kopę zrodzi—kopa korzec daje.

Tak ubogie okolice pokrywają liczne lasy iglaste zwłaszcza w dawnych powiatach: opoczyńskim, opatowskim i radomskim.

Pod Opatowem nad Wisłą przy ujściu Dunajca schodzą się okrągłe rumy szwedzkie z kątowatemi tatrowemi, spławianemi przez Dunajec. Odbywszy niewielką drogę niemogą się jak szwedzkie zaokrąglić. Trafiają się jednakże, ale rzadko i w małej ilości rumy okrągławe i na południu granicy dawnych wód Baltyku jak ku Domaszewicom z granatami, w Miedzianej górze, pod Szańcem, Pierzchnią i Chmielnikiem w dziesiejszej gubernii kieleckiej.

Ogólny stosunek lasów do całej powierzchni kraju wynosi 22,4%, nie jest jeszcze zbyt szczupły, chociaż należy przyjąć za normę 25%, ale główną nienormalność stanowi nierówny podział lasów między oddzielne części kraju. I tak uważając wedle przedostatniego podziału kraju pod względem administracyjnym na pięć gubernii a trzydzieści dziewięć powiatów; w piętnastu tychże powiatach stosunek niedochodzi dwudziestu procent, a w niektórych schodzi bardzo nisko. W byłych powiatach: kalwaryjskim 4,8% w przasnyskim 2,8%. W jedenastu innych przechodzi dwadzieścia pięć procent; w czterech trzydzieści a w zamojskim powiecie czterdzieści procent.

Druk S. Burzyńskiego, Nowy-Świat Nr, 57 Дозволено Цензурою, Варшава 7 Августа 1875 г. Redaktor i Wydawca, **Bronisław Przyrembel.**

PRZYSIĘGA DEBENHAMA

POWIEŚĆ,

przez

AMELIĄ B. EDWARDS,

z angielskiego tłómaczona.

Tom pierwszy.

(Dalszy ciąg.—Patrz dodatek do Nr. 46).

Jak tylko przyjechał, chciał się rozmówić z kapitanem na osobności. Za przeprowadzenie *Ptaka Burzy* z Nassau do Charleston i nazad, żądał siedemset pięćdziesiąt funtów, których połowa miała być wypłacona przed wyjazdem. Narażał się na wielkie niebezpieczeństwa, chciał więc być dobrze zapłacony; gdyby *Ptak Burzy* wpadł po drodze w ręce którego z północnych statków, los jego nie byłby do pozazdroszczenia; zamknął się więc na pięć minut z kapitanem w kajucie tego ostatniego i tam odebrał trzysta siedmdziesiąt pięć funtów w nowiuteńkich biletach banku angielskiego. Schowawszy je starannie do zużytego pugilaresu, podał go żonie, która go ukryła w swoim staniku, a potem doświadczony w tylu burzach i przeprawach, gotów w potrzebie oddać spokojnie życie, sternik, uścisnął serdecznie żonę, i nie wstydził się przy wyjeździe obetrzeć oczu rękawem. Ona zaś zeszła spokojnie i śmiało do łodzi, gdzie na nią czekał młody murzyn w bawełnianej kurtce w paski, i dopiero kiedy się oddaliła od okrętu, przyłożyła chustkę do oczów i więcej nie patrzyła za siebie.

— A teraz, panie Polter, rzekł kapitan, czego się możemy tam spodziewać? Fedraliści zapewne czatują na nowo przybywających.

Pan Zacharyasz Polter uważając pokład za olbrzymią spluwaczkę i postępując sobie stosownie do tego wyobrażenia, odpowiedział sucho:

— Jużto kapitanie, domyślam się, że nasi ludzie dobrze sobie zaostrzyli wzrok.

— Jakież mają teraz okręty przy wejściu do portu Charleston?

— Są tam *Wabash*, *Seminola* i *Roanoke*, nie rachując kanonierek i różnych mniejszych statków.

— Jakto?! tylko trzy wojenne okręty.

— Jużto, kapitanie, nie przysiągłbym na to, *Pawnee* i *Pocahontas* znajdowały się w tamtych stronach, jak wiem, i od kilku dni powiadają że *Mohikan* połączył się z tamtemi okrętami.

— Nie ma w flocie Federalnej lepszego okrętu od *Mohikana*, zauważył pan Heneage, stojący niedaleko.

Sternik odwrócił się słysząc jego głos i ujrzawszy go, zawołał:—Co to? Senator Shirley, pan tutaj? Miło mi widzieć pana. Będę więc znów miał przyjemność odwiedzenia go w domu.

To mówiąc pan Zacharyasz wyciągnął olbrzymią łapę, koloru mahoniowego i tak ścisnął rękę senatora, że ten się aż skrzywił.

— Nazywam się Heneage, dopóki nie powrócę do Charleston, powiedział wesoło południowiec.

— Bardzo dobrze, niechże będzie Heneage; ale nim przybędzie nam czterdzieści ośm godzin życia, będziemy pana nazywać prawdziwem nazwiskiem.

— Nie pierwsza to będzie nasza próba przedarcia się przez blokadę, panie sterniku? zapytał kapitan.

— Nie, kapitanie, drugi to już raz. Przeprowadziłem stary, zgniły statek, zwykle używany do polowania na rzece Mississipi, trzy dni po zaprowadzeniu blokady. Zabawna to była przeprawa ze statkiem co się ledwie kupy trzymał, i mającym w rurze przeprowadzającej parę, szparę przez którą można było wypuścić dollara; ale zabawniej jeszcze będzie teraz; więcej stoi okrętów, a te armaty Parrota trafiają na potężną odległość.

— Będziemy się mogli śmiać z armat Parrota, jeżeli tylko będziemy się daleko od nich trzymać, rzekł kapitan pogardliwie.

Na to pan Zacharyasz Polter, ciągle popełniając tej samej pomyłki względem przeznaczenia pokładu, odpowiedział bardzo sucho.

— Jużto kapitanie, nie zdaje mi się żebyśmy dla naszej przyjemności odbywali ten spacer. Radzę się śmiać, jeżeli się to panu będzie podobało, dopiero kiedy będziemy tutaj z powrotem.

Zmrok, jak zwykle w podzwrotnikowych krajach, szybko zapadał. Ludzie byli na swoich stanowiskach, kapitan wydawał rozkazy, i *Ptak Burzy* który przeszło od godziny, przygotowywał swoje maszyny, wykręcił się wolno i opuścił przystań, tak cicho i spokojnie, jak do niej przybył. Po trochu, światła ciągnące się łańcuchem wzdłuż wybrzeżów miasta, lub rozrzucone na około przestrzeni, i słaby ogień latarni morskiej bladły, zmniejszały się i nareszcie znikły w oddaleniu. Przez długi czas *Ptak Burzy* płynął niopodal lądu, trzymając się sąsiedztwa wysp Bahama, i nieopuszczając wód angielskich, ale trochę po północy, kiedy wązki róg księżyca zaczął się spuszczać ku zachodowi, a lekki wietrzyk powstał od strony południowo-wschodniej, wyszedł na pełne morze.

Noc była śliczna. Po upale dziennym, lekka mgła unosiła się w powietrze, ale morze było całe oświecone fosforycznemi światełkami, a gwiazdy jasno błyszczały na sklepieniu niebios. *Ptak Burzy*, popychany całą siłą pary, posuwał się wśród ognistej piany tworzącej za nim jakby ogon z roztopionych bryllantów. Czasami ukazał się rekin w pobliżu, wśród fal ognistych i znikał jak meteor świetny. Tak noc minęła, a gdy szary brzask zastąpił światełe te ciemności, chłopiec na straży zwiastował okręt na prawam boku.

Zaledwie, ujrzawszy to niebezpieczeństwo, uniknioło go, inny, a potem jeszcze inny okręt ukazały się w różnych stronach widnokręgu. Szybko wydawane rozkazy, natychmiastowe posłuszeństwo, baczność największa były hasłem dnia tego, bo *Ptak Burzy* znajdował się na niebezpiecznych wodach, i jedyna nadzieja ucieczki leżała w czujności jego straży, w prędkości z jaką zmieniał kierunek swej drogi kiedy nieprzyjaciel się ukazywał. Przez cały dzień wymykał się więc jak zając, czasem się zatrzymując żeby przepuścić naprzód jaki podejrzany statek, czasem nawet cofając się, ale dzięki środkom przedsięwziętym żeby go uczynić niewidzialnym, i baczności sternika, uszedł uwagi i nawet posuwał się naprzód, pomimo tych trudności.

Słońce znów zaszło, opromienione złotem i purpurą chowając się za gęstą mgłę powstającą na zachodzie;—coraz niżej się spuszczało, świetlane promienie gasły jedne po drugich, na chwilę zawisło, jak krwawa tarcza, nad samą powierzchnią wody, rzucając różowe światło na całe niebo i zapalając ogniem szczyt każdej fali, nagle znikło, i nim ostatni odblask zbladł na widnokręgu, już noc południowa zapadła.

W parę godzin później, *Ptak Burzy* wpłynął w lekką mgłę, unoszącą się przed nim jak miękki wełnisty wał z chmur.

— Ta mgła nam sprzyja, panie Polter, powiedział De Benham, szybko się przechadzając po pokładzie, bo noc była trochę chłodna.

— Sprzyja nam i nie sprzyja, odpowiedział ogłędnie sternik. Mgła nas zasłania, ale mgła nas także wprowadza w niebezpieczeństwo.

Przyszłość okazała, że przezorny odszczepieniec miał słuszność, bo trochę po północy, kiedy cisza i pokój panowały na około, i wszelkie obawy zdawały się płonnemi, kiedy zaledwie było słychać jak się *Ptak Burzy* posuwał po gładkiej powierzchni wody, ujrzano nagle olbrzymi, niepewny, straszny przedmiot jakby widmo okrętu, z którego głos donośny odezwał się przez trąbę, wołając:

— Ho! statek! zatrzymać się, albo was zatopię!

ROZDZIAŁ XXXIV

Ateny Peryklesa.

Czytelnicy przypomną sobie może że Temple De Benham, paląc fajkę przed karczmą, nad brzegiem rzeki, pięknego pamiętnego wieczora, usłyszał niektóre wymówki małoznaczącej rozmowy, prowadzonej w poblizkim salonie. Osobami tak mówiącemi byli pan i panna Alleyne, i pierwsze prawie zdanie jakie De Benham usłyszał z ust malarza objawiało wstręt, jaki mu sprawiało wykonanie zamówionych z góry obrazów.

Dla tysiąca może początkujących artystów, zaledwie mogących zarobić na życie, takie zdanie wydawałoby się przesadą lub szaleństwom, ale pan Alleyne z największą szczerością je wypowiedział. Lubił malować dla własnej przyjemności, nie spiesząc się, nie będąc skrępowany w sposobie wykonania swego przedmiotu. Wtedy tylko, jak mówił, mógł rozwinąć całą siłę talentu, jaką czuł w sobie; wtedy tylko jak stwierdzała córka, gdy się na jej świadectwo powoływał, pracował z prawdziwym zapałem.

Rzadko jednak kiedy pan Alleyne miał czas wykonać więcej jak jeden taki obraz na rok, a czasem wiele lat upłynęło nim zdołał jeden nawet wykończyć. Miał zawsze więcej niż mógł podołać tych obstalunków, których tak nienawidził, ale jakkolwiek je nienawidził i wyrzekał na nie, musiał je przyjmować jeśli nie chciał zupełnie zerwać stosunków dostarczających mu tych zamówień.

Pan Alleyne nie był popularnym artystą; mało co wystawiał, bo jego dzieła, z góry zamówione, były odbierane przez właścicieli jak tylko zostały ukończone.

Sława jego, jednem słowem, chociaż wielka i zasłużona nie przechodziła poza pewien ciasny zakres arystokratycznych protektorów, a p. Alleyne nie był człowiekiem zdolnym do porzucenia tego wyborowego kółka, żeby wejść w obszerniejsze ale mniej pewne szranki, i starać się o łaski ogółu. Znał wartość swych stosunków i doskonale oceniał korzyści, jakie z nich dla niego wypływały. Dzięki im, żył sobie wygodnie, i gdyby był chciał więcej pracować i mniej wydawać, byłby mógł majątek zrobić, mógł zadowolić swoje gusta i bywać w towarzystwie, jakie najlepiej lubił. Przez siedm miesięcy, naprzykład, na dwunastu, p. Alleyne przesiadywał na wsi, u którego ze swoich protektorów, rysując ciemne ulice parków, starożytne dęby, średniowieczne komnaty, galerye, wszystkie te bogate krajobrazy i szczegóły architektury, tak obfite w wiejskich siedzibach w Anglii. Uważany za gościa, jeździł konno, odwiedzał sąsiadów, zjadał smaczne obiady i żył jak książe. Czasami, kiedy nie przebywał u samego właściciela, mieszkał u rządcy, lub u jakiego dzierżawcy, lub jak w Chillinferd w karczmie, w to-

warzystwie córki. W zimie siedział w domu malując zamówione obrazy według szkiców zrobionych na miejscu, rzadko kiedy jedząc obiad u siebie i przepędzając wszystkie wieczory w klubie. Jednem słowem prowadził życie łatwe i przyjemne i bawił się wyrzekaniem na źródła swej pomyślności.

Jednak jak wspomnieliśmy, p. Alleyne czasem znajdował czas wykonać obraz dla swojej przyjemności, jak mówił, a ten obraz, jeżeli nie został zakupiony przed opuszczeniem pracowni, był z pewnością sprzedany nim wystawa została dla ogółu otwartą. Nie zdarzyło się od wielu lat, może od czasu jak się ożenił i niedługo potem został ojcem i wdowcem, żeby taki obraz pozostał u niego.

Właśnie na początku tej wiosny 1861 roku, pan Alleyne zajmował chwile wytchnienia pomiędzy innemi pracami malując obraz opuszczony i odwrócony do ściany od wielu lat, i zapaliwszy się nagle do tego dzieła (jak się często zdarza z rysunkiem albo poematem oddawna zarzuconym i zapomnianym) ukończył je na gwałt i na czas oddał na wystawę akademii sztuk pięknych. Zamknąwszy się do ostatniej chwili, żeby lepiej pracować, nie sprzedał tą razą swojej roboty jeszcze na stalugach, ale została zakupioną i naznaczoną czerwoną gwiazdą na ramach, oznaczającą, że miała nowego właściciela w godzinę zaledwie po otwarciu sal osobom wybranym, któreje zwiedzają nim publiczność zostanie do nich wpuszczoną. Nabywcą obrazu był p. Hardwicke. Stało się to prostym pszypadkiem. Pan Hardwicke znał tylko sławę p. Alleyna, a pan Alleyne nic nie wiedział o panu Hardwicke i przypominał sobie tylko, że słyszał jego nazwisko, niewiedząc gdzie i jak.

— Obraz sprzedany, Julko — powiedział, kiedy tego dnia powrócił do domu.

— Naturalnie że sprzedany, papo, odpowiedziała córka, patrząc na niego z przywiązaniem. Nigdy o tem nie wątpiłam. Czy go sir Edmund Fletcher kupił?

— Nie, nieznajomy, jakiś pan Hardwicke. Zdaje mi się, że słyszałem to nazwisko. Czy nie przypominasz sobie?

Panna Alleyne odwróciła się do okna i zaczęła obrywać suche liście na pelargoniach.

— Gdzie mieszka?—zapytała?

— Ma dom na Regent's Park, zamek w Kent, i kantor w City.

— To zdaje mi się, że wiem; jestto krewny pana Arczybalda Blyth.

— Tak, musi zajmować pewne stanowisko.

— Zdaje mi się, że jest bardzo bogaty—rzekła panna Alleyne.

Milczenie trwało przez chwilę.

— Ale prawda—powiedział p. Alleyne, czy to nie przez tego pana Hardwicke tamten młody człowiek Debenham, bywa używany?

Panna Alleyne nachyliła się nad kwiatkami.

— Tak, zdaje mi się—odpowiedziała.

— Dziwna to zmiana dla młodego człowieka, tak uzdolnionego. Zdawał się namiętnie kochać swą sztukę.

Panna Alleyne nic nie odpowiedziała.

— Ale żyjemy w wieku dbającym tylko o wygody i o pieniądz, pozbawionym zapału, ciągnął dalej malarz filozoficznie, i prawdziwy duch sztuki zagasł już prawie pomiędzy nami. Zdaje mi się, kochanko; że się napiję filiżankę tęgiej kawy i kieliszek *curaçoa* nim pójdę się ubrać.

— Ubrać się?—powiedziała panna Alleyne. Myślałam że dzisiaj będziesz w domu, papo?

— Zapomniałem ci powiedzieć; kapitan Bathurs prosił mnie, żebym z nim był na obiedzie w jego klubie. Nie będzie ci to przykro, spodziewam się?

— Panna Alleyne uśmiechnęła się i nie chciała przyznać, żeby najmniejszej doznawała przykrości.

— Wiesz od dawna—powiedziała - że mi zupełnie wszystko jedno jeść obiad samej.

Ale nie dodała, że chociaż przyzwyczajona do jego nieobecności, tak straciła od jakiegoś czasu swoją zwykłą wesołość, że prawie się obawiała powrotu tych samotnych wieczorów.

— Ma postać dystyngowaną, powiedział niedługo p. Alleyne zapijając swoją kawę i likwor.

— Kto, kochany papo?

— Pan Hardwicke.

— Czy go widziałeś?

— Chwilkę. Poszedłem się dowiedzieć kto nabył mój obraz, i sekretarz pokazał mi go właśnie kiedy wychodził z pokoju.

— Spodziewam się, że dość dobrym jest znawcą żeby go ocenić, powiedziała panna Alleyne.

— W każdym razie dosyć się znał żeby go ocenić—rzekł malarz.

— To nic nie dowodzi. Obraz mógł mu się podobać dla tego, że kto inny go chwalił, albo dlatego, że był w tem miejscu, więc go kupił na pamiątkę.

— Mniejsza o to, weksel jego przez to nic nie straci na swej wartości.

— O papo, najlepszy twój obraz!

Pan Alleyne wstał, pociągnął córkę za ucho i powiedział z uśmiechem.

— A, koteczko, zawsze ci się zdaje że ostatni obraz jest najlepszym.

— A tobie że najgorszym.

— Tak zawsze bywa, artysta nie mogąc dosięgnąć do swego ideału, martwi się i upada na duchu. Kobieta kochająca, stojąca przy nim, czy żona, czy córka, patrzy na jego dzieło oczami serca i żadnej wady w niem nie odkrywa. Jestto jedno z tych przyjemnych praw, czyniących znośnym ten świat niewygodny.

— Możesz mnie zbywać ogólnikami, papo, powiedziała panna Alleyne z żywością przypominającą dawne czasy, ale ja utrzymuję że *Ateny Peryklesa* są najlepszym obrazem jaki kiedy wymalowałeś.

Pan Alleyne zatrzymał się w chwili kiedy otwierał drzwi.

— Czy słyszałaś kiedy młodego Blytha mówiącego o siostrze swego kuzyna, o pannie Hardwicke.

— Cóż mi o niej powiesz?

— Tyle tylko, że to jest najpiękniejsza kobieta jaką kiedy widziałem.

Zamknął drzwi i poszedł na górę.

Panna Alleyne patrzała za nim jakgdyby nie dobrze rozumiała znaczenia jego słów. Najpiękniejsza kobieta jaką kiedy widział! Było to bardzo absolutne twierdzenie, twierdzenie z tych jakie każdy w duchu miarkuje pewnemi zastrzeżeniami. Może panna Alleyne swoje uwagi i zastrzeżenia także czyniła po cichu, bo długo siedziała blada poważna zamyślona. Potem wzięła jedne po drugich, suche liście pelargonii leżące na jej kolanach, powoli je skubała i kawałeczki po kolei wrzucała do kominka.

Najpiękniejsza kobieta jaką kiedy w życiu widział! Zapewne także jedna z najbogatszych. Piękna, bogata, i siostra pana Hardwicka. Umysł jej krążył na około tych trzech faktów z uporem prawdziwie męczącym i ciągle ku nim powracał. Zmrok zapadł, a ona jeszcze myślała.

ROZDZIAŁ XXXV.

Przedarcie się przez blokacyę.

— To zapewne *Roanoke*, zauważył spokojnie sternik.

Kiedy wymawiał te słowa, okręt amerykański ukazał się widoczniej, bliżej, zaledwie o strzał pistoletowy od *Ptaka Burzy*.

Kapitan odpowiedział na nieprzyjacielskie wezwanie.

— Tak, tak, krzyknął przez swą tubę. Zatrzymujemy się.

I spuściwszy tubę zawołał na ludzi znajdujących się przy maszynie.

— Wypuszczajcie parę!

— Nie zatrzymasz przecie okrętu kapitanie Hay! zawołał De Benham blady i bez tchu.

— Zatrzymałem go już, mruknął kapitan.

Drugi rozkaz wyszedł grzmiącym głosem z groźnego widma.

— Zatrzymać się! czekać na łodzie!

I kapitan znowu odpowiedział:

— Tak, tak!

De Benham zgrzytnął zębami.

— Ale, na Boga żywego! człowieku, nie myśląc nawet jak gwałtowne były jego słowa, czy się tak poddasz, bez żadnego oporu?

Kapitan się ku niemu obrócił klnąc w swej złości.

— Kto powiedział że się poddam? odpowiedział z gniewem. Zaczekaj pan, sam to zobaczysz.

Ptak Burzy, po wypuszczeniu pary, stał nieruchomy, a na jego pokładzie wszyscy oczekiwali w milczeniu, wstrzymując prawie oddech. Mogli słyszeć jak kapitan nieprzyjacielskiego okrętu wydawał rozkazy, widzieć, pomimo mgły jak spuszczano łodzie i niedługo doszedł ich uszów plusk wioseł i odgłos hałaśliwej wesołości majtków.

De Benham jęknął po cichu i czoło jego okryło się grubemi kroplami potu. Był bezsilnym, a to uczucie bezsilności było nie do zniesienia w takich okolicznościach.

— Czy pozwolisz im pan nas wziąść? powiedział głosem ochrzypłym od wzruszenia, wskazując na łodzie posuwające się ku nim.

Kapitan zaśmiał się szydersko, przytknął usta do tuby, i krzyknął do mechanika:

— Naprzód! co siła! i drżąc cały, *Ptak Burzy* puścił się naprzód, z podwojoną szybkością, jak chart wypuszczony ze smyczy.

— Oto panie nadzorco, powiedział kapitan, w jaki sposób się poddaję. Nasi przyjaciele z Ameryki nie opuszczą swoich łodzi na pełnem morzu na taką noc, nawet dla przyjemności schwytania nas.

W tej chwili nagła błyskawica i huczne wystrzały doniosły o gniewie i zemście federalnego dowódcy; ale nim odgłos ich ucichł, *Ptak Burzy* posunął się o pół węzła i nie było już znać za mgłą okrętu nieprzyjacielskiego.

— Już to, powiedział pan Zacharjasz Polter, można to nazwać grzesznem marnotrastwem. Tym ludziom zabraknie prochu i kul przed śmiercią.

De Benham zbliżył się do kapitana z wyciągniętą dłonią.

— Kapitanie Hay, powiedział z otwartością, uniosłem się temu chwilę; przepraszam pana.

Kapitan mruknął i nie bardzo chętnie podał swą rękę.

— Nie należy to do obowiązków nadzorcy ładunku zająć się czynnościach kapitana, powiedział trochę opryskliwie i odwrócił się.

De Benham przyjął wymówkę w milczeniu, wiedząc, że na nią zasłużył.

(*Dalszy ciąg nastąpi.*)

Druk S. Burzyńskiego, Nowy-Świat Nr. 57.

Дозволено Цензурою. Варшава 4 (16) Августа 1875 г.